

PLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 27 CZERWCA 1931 ROKU.

NR. 26.

TREŚĆ NUMERU: Matura, czy szkoła zawodowa — *Jadwiga Prażmowska*. O miejsce na Parnasie dla pani Kossakowskiej — *Dr. Stef. Skwarczyńska*. Za białą ścianą (szkie powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Coś niecoś o wrózkach — *Leonja Jabłonkówna*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Angola — *Halina Dekańska*. Co można zrobić — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. „O, gdyby one umiały gotować” — *Teodora Drzewiecka*. Piznowce — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Jak schudnąć? — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Poznańskie koło ulepszeń metod pracy domowej — *Pani Elżbieta*. Jak przyrządzać, podawać i jeść szparagi — *J. S.* Obiady dla inteligencji pracującej — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”.

MATURA, CZY SZKOŁA ZAWODOWA

I.

Wiosna i koniec roku szkolnego — to okres, w którym zagadnienie wyboru zawodu staje się kwestją palącą.

Do jakiej uczelni zapisać się po maturze, co robić w razie niezdania matury, czy wogóle kończyć szkołę średnią, czy znaleźć jakąś bardziej praktyczną drogę — oto pytania, nad którymi obecnie głowia się setki tysięcy młodzieży.

Trudna to sprawa, a dla młodych dziewcząt niemal jeszcze trudniejsza, niż dla chłopców, dlatego, że kobieta musi o swym ewentualnym zawodzie myśleć zawsze pod kątem pogodzenia go z obowiązkami pani domu, żony i matki.

Jedną z dróg, stosunkowo łatwo dających dostęp do fachowej pracy zarobkowej, są szkoły zawodowe, do których *nie trzeba matury*.

Niestety, musimy stwierdzić, że społeczeństwo, nawet ta jego część, dla której kwestja wyboru zawodu jest aktualna, mało się orjentuje, jakie może dać korzyści i jakie stawia wymagania szkoła zawodowa.

Niedawno skończył się, zorganizowany na szeroką skalę, tydzień propagandy szkoły zawodowej z odczytami, wystawami, pokazami. Wszyscy mamy to jeszcze świeżo w pamięci, jest to więc odpowiednia chwila do zastanowienia się nad zebranymi wrażeniami i wyciągnięcia pewnych wniosków.

Mieliśmy sposobność zapoznać się w czasie tygodnia propagandy ze szkołami zawodowymi żeńskimi rękodzielniczymi i gospodarczymi, które przygotowały wystawy i pokazy; o innych (szkoły handlowe, techniczne, pielęgniarstwa i higieny) wiemy raczej ze słyszenia, ale wiemy, że są i wiemy, że np. szkoły pie-

lęgniarek nie mogą nastarczyć zapotrzebowaniom na siły fachowe.

Poziom szkolnictwa zawodowego żeńskiego przedstawia się doprawdy imponująco. Wspaniałym dowodem tego była sala szkół zawodowych żeńskich na P. W. K.; oddawna potwierdzają to doroczne wystawy.

Obecne pokazy i wystawy propagandowe, prócz *poziomu prac*, uwidaczniają jeszcze i *metodę nauki*.

Jestem pewna, że każdemu zwiedzającemu nasuwa się myśl, iż mało które z państw Europy może się poszczycić szkolnictwem zawodowym, tak postawionem pod każdym względem (nasze szkoły rękodzielnicze żeńskie zostały zaszczytnie wyróżnione na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu).

Ilość kandydatek, zgłaszających się do tych szkół, jest wystarczająca — poziom bardzo wysoki, jakiejże więc jeszcze propagandy potrzeba i czy jej potrzeba?

Potrzeba bezwzględnie, mamy bowiem w Polsce ogromną przewagę szkół typu gimnazjalnego (nie dających żadnego praktyczno-zawodowego przygotowania) nad szkołami zawodowymi, mimo potężnego rozwoju tego szkolnictwa w niepodległym państwie.

Według obliczeń w r. 1926 — 27, z młodzieży, która ukończyła szkoły powszechne, tylko 10 proc. wstąpiło do gimnazjów i szkół zawodowych, zaś 90 proc. poszło w życie bez żadnego przygotowania fachowego, skazane zgóry na zdobywanie go długoletnią, źle płatną praktyką. Z młodzieży zaś, która poszła do gimnazjów, tylko 10 proc. wstąpiło do wyższych

uczelnia, czyli znowu 90 proc. nie posiadało żadnego fachowego przygotowania, a tylko bardziej wygórowane pretensje w stosunku do życia. Z tych, którzy wstąpili do wyższych zakładów naukowych, tylko dalsze 10 proc. ukończyło studia wyższe.

W Niemczech natomiast stosunek liczby młodzieży ze szkół zawodowych do młodzieży ze szkół średnich ogólnokształcących w r. 1926 — 27 wyrażał się na korzyść szkół zawodowych w stosunku 9:1 — w Polsce odwrotnie 1:3 — trzech uczniów gimnazjalnych na jednego ucznia szkoły zawodowej.

Przyczyny tego zjawiska, mającego ważne znaczenie ekonomiczne dla państwa, poza stanem przemysłu i ustrojem szkolnictwa, trzeba szukać w dużej mierze w stosunku społeczeństwa do szkół zawodowych.

Przesąd, związany z ukończeniem gimnazjum, zastąpił obecnie dawne przesady szlacheckie w sferze uprawnień towarzyskich. Stąd ów owczy pęd do kończenia gimnazjum, obserwowany zwłaszcza u młodzieży, pochodzącej z niższych warstw społecznych. Mniema ona, że gimnazjum wydaje patent na przynależność do inteligencji — a tymczasem po wielu trudach uzyskuje licho płatne posady biurowe, lub wreszcie, zmuszona biedą, wraca do sklepów i warsztatów, lecz w charakterze niewykwalifikowanych praktykantów.

Taka młodzież wreszcie dostarcza największego kontyngentu wykolejeńców życiowych, wstydzących się swego pochodzenia i środowiska, lecz w gruncie rzeczy pasożytujących na niem.

Z drugiej strony, jeśli chłopiec lub dziewczyna z rodziny, której członkowie utrzymują się z pracy biurowej lub nauczycielskiej, decyduje się iść do szkoły zawodowej, rodzina, przyznając mu w teorii rację, patrzy na niego tak, jak w okresie pozytywizmu patrzono na emancypantki.

Młody fachowiec musi się liczyć z tem, że w gronie dalszej rodziny lub znajomych spotka się z uśmiechem, który niewiadomo, co będzie wyrażał: podziw dla pioniera, czy politowanie dla zdeklasowanego?

To też droga pracy zawodowej wymaga niejednokrotnie dużych wysiłków moralnych, odwagi cywilnej, wytrwałości i siły charakteru.

Te przeszkody, na których przewycięzanie użytkowuje się dużo sił i energii, są w gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebne i mogłyby zniknąć z drogi młodzieży, gdyby nareszcie społeczeństwo nauczyło się traktować pracę zawodową rękodzielniczą, czy rzemieślniczą, jako rzecz zupełnie normalną i nie mieszało do tego nieuzasadnionych i niemądrych przesądów towarzyskich.

W związku z niezrozumieniem rzeczywistej wartości pracy rękodzielniczej mam do zanotowania smut-

ny objaw: oto z pośród kończących szkoły zawodowe absolwentek znaczny procent nie pracuje później w zawodzie, na którego wyuczenie się poświęciły 3 lata. Część ich wychodzi zamaż i zajmuje się domem — to jeszcze nie jest strata społeczna, bo swoje umiejętności wykorzystują na domowy użytek — ale wiele z nich idzie na posady biurowe. Są to właśnie dziewczęta z nieinteligentnego środowiska, które ukończyły 7 oddz. szkoły powszechnej i, nabywszy w szkole zawodowej jeszcze pewną sumę wiadomości ogólnokształcących, chcą za wszelką cenę wyjść ze swego środowiska. Popularnie nazywa się to, że „przewróciło się im w głowie“.

Takie zjawisko, wynikające z poprzedniego, t. j. z niewłaściwego stosunku społeczeństwa do pracy zawodowej, jest bezwzględnie zjawiskiem przejściowym; trzeba jednak robić, co można, aby ta niezdrowa przejściowość trwała jaknajkrócej. Z drugiej strony trzeba również wkońcu zrozumieć, że szkoły zawodowe *nie są przytułkiem dla niezdolnych*, jak to się nieraz w praktyce zdarza.

Szkola zawodowa wymaga określonych i wyraźnych zdolności, niejednokrotnie wybitnie twórczych, a także specjalnych cech charakteru. Fakt, że dziecko z trudnością daje sobie radę w szkole średniej, absolutnie nie jest kwalifikacją do szkoły zawodowej — choć tak niejednokrotnie uważają rodzice.

Przeciwko takiemu nastawieniu społeczeństwa szkoły zawodowe muszą się bronić i bronią się przez egzaminy i próby psychotechniczne. W tym kierunku działają również poradnie dla młodzieży rzemieślniczej i pracownie psychotechniczne.

Praca nad tem, aby odpowiedni materiał ludzki kierowany był do odpowiednich szkół, prowadzona jest przez państwo i organizacje społeczne b. intensywnie, ale to dopiero połowa pracy. Drugą połowę musi swą dobrą wolą wykonać społeczeństwo przez zajęcie właściwego stanowiska wobec szkół zawodowych. Pod tym względem jesteśmy daleko wtyle za większością państw Europy, nie mówiąc o St. Zjedn. A. P.

Niesłuchanie ważne jest, aby tę sprawę należycie zrozumiały kobiety.

Niech zastanowią się nad kwestją szkoły zawodowej nie ze stanowiska społecznego, bo to nie posunie sprawy, ale z tego, które jest punktem wyjścia dla realnych poczynań: ze stanowiska potrzeb własnych i własnej rodziny.

Niech się zastanowią głębiej nad kwestją rzeczywistych zamiłowań, uzdolnień i dyspozycji psychicznych swych dzieci i liczą się z tem, doradzając im wybór zawodu; często bowiem ambicja rodziców przeważa chwiejną jeszcze i niezdeklarowaną wolę dziecka, co daje zawsze złe rezultaty. *Jadwiga Prażmowska.*



O MIEJSCE NA PARNASIE DLA PANI KOSSAKOWSKIEJ

Chodzi o niebyłe jaką rzecz. O intronizację kobiety na Parnasie. O oficjalne uznanie, że pani z Potockich Kossakowska, kasztelanowa Kamieńska, jest może najwyższą pozycją w epistolografii polskiej. Jeśli w ogólno-światowym bilansie nie stoi narówni z panią de Sevigné, to niemniej na terenie polskiej literatury jest panią de Sevigné. Zresztą, jakżeż tu porównywać twórczość tych pań! Oryginalność każdej z nich jest tak skrajnie różna; dodajmy: korespondencja pani Kossakowskiej ma dla nas wręcz posmak nowości, bo nie jest, jak tamtej, zmieniona na drobne przez epigonów.

Milcząc o pani Kossakowskiej, robimy uszczerbek sobie samym, naszemu dorobkowi kulturalnemu; ubożymy się w teorii o niepospolity, szczery, o sarmackim rozmachu, talent. A jak dobrze nie wiemy o pani Kossakowskiej - literatce, świadczy choćby brak jej nazwiska w solidnej bibliografii „Historji literatury polskiej“ Korbuta.

O pani Kossakowskiej - literatce. Bo o tej biogłowie nieokiełzanego temperamentu, o tem wcieleniu babskiego despotyzmu, a zarazem największej chyba w XVIII-ym w. odwagi cywilnej, o tej hic mulier wiecznie w ruchu, wiecznie w intrydze politycznej i „domu swego“, niepohamowanej i ciętej, jak jej własny dowcip, o tej damie za panbrat z monarchami swojego czasu — krąży tysiąc anegdot. Ostatnio wychyla ku nam jej sylwetkę z pełnego wdzięku „Bardzo przyjemnego miasta“ Stanisław Wasylewski.

Ale — powtarzamy — pani Kossakowska - epistolografka jest ciągle jeszcze do odkrycia. A jest to tem dziwniejsze, że wybór jej niepospolitych listów został wydany jeszcze w roku 1883 przez Waliszewskiego.

Wprawdzie wydawca w inteligentnem wstępnem studjum wielbi talent literacki pani Kossakowskiej, ale ponieważ nie stawia kwestji zasadniczo, ponieważ nie żąda otwarcia przed nią drzwi Literatury przez wielkie L., więc też odkrycie jego idzie w zapomnienie.

Analiza estetyczna tej twórczości wymaga obszernego studjum, dodajmy, bardzo utrudnionego przez fragmentaryczne wydanie tekstów. Narazie chciałabym zwrócić uwagę na parę jej zasadniczych cech, które razem składają się na odrębne piętno, wyróżniające ją artystycznie wśród analogicznej twórczości.

Listy p. Kossakowskiej są najściślej spojone z pewnym praktycznym celem, co, ponieważ jest zgodne z naturą listu, jest jego podstawowym walorem estetycznym. Cel ten jest postawiony jasno; list

jest środkiem osiągnięcia go; to też kipi w nim ładunek elementów woluntatywnych, rozsadza go prężna energja. Niema w nim nic zbędnego z punktu widzenia praktycznego celu; niema bezbarwnego „badinage“, przesypywania słów. Są te listy wspaniale dopasowane do wszystkiego, co jest życiem, co jest rzeczywistością danej chwili twórczej. Przedewszystkiem, jeśli przyjąć, że adresat przez ton psychiczny, który dyktuje, jest współautorem listu — to współautorstwo to w korespondencji pani Kossakowskiej jest wycieniowane z finezją. Stąd z samego tonu listu staje nam przed oczyma, jak żywa, postać adresata, choć treścią nic nam list o nim nie mówi.

Oto defilują przed naszymi oczyma zrematerializowane poprzez atmosferę listu rozliczne osoby: jakaś cichutka trusia, panna Świeżewska, okrutnie zbesztana za afekt do Potockiego; tam znów zacna, serdeczna, cicha i zahukana pani Pelagja, siostra. I tyle innych!

Dalej list pani Kossakowskiej jest uosobieniem jej samej w chwili twórczej. Jest wszystkim, co się składa na jej „ja“ psychiczne, wszystkim, co w niej wibruje, gra, żyje. I niczem ponadto — a najmniej mozolną pracą intelektu. Czyli w związku z praktycznym celem jest jej własnym temperamentem, jej własną emocjonalnością. Zwłaszcza — emocjonalnością. A emocjonalność ta nie rozplywa się w jakiejś bezwładnej mgławicy. Rysuje się w całym przepychu swych wartości kwantytatywnych i kwalitatywnych.

Zasługuje na specjalną uwagę badacza. Nietylko dlatego, że bucha bezpośredniością i przepaja każdy list i każde słowo. Przedewszystkiem ze względu na skalę swych odcieni. Powiedzmy odrazu: jest jednostronna, cała trzyma się obszaru uczuć o podłożu niezadowolenia. Wszak niema w całym zbiorze ani jednego listu, któryby był pieszczotą, czy dobrotliwym pogłaskaniem; czyżby pani kasztelanowej obce były uczucia bardziej seraficzne?

Zato w obrębie tej jednostronności skala odcieni i nasileń jest wprost niesłychanie bogata. Przytem każdy z tych stanów uczuciowych występuje w iście laboratoryjnej czystości. Niezadowolenie, niechęć, złośliwość, zgryźliwość, ironja, sarkazm, obraza, gniew, furja, pogarda, chęć ponizienia, despotyzm, powątpiewanie, nienawiść — oto część tylko dyspozycji, jej aktualnych korelatów i ich wytworów psychicznych, związanych z życiem uczuciowem autorki.

Takiej wszechstronności odcieni i nasilenia uczucia pewnego, jednego typu niema u żadnego z epistolografów; zwłaszcza tego typu; dodajmy, że list gniewny jest rzadkością; nie ma swego ustalonego prototypu, jak ma go np. list miłosny. W tej dziedzinie

pani Kossakowska jest zarazem twórczynią rodzaju i szczytu jego możliwości.

Każdy stan uczuciowy wypowiada się nietylko selekcją i układem treści, nietylko bezpośrednim sądem, lecz przede wszystkim żywiołem stylu, języka i kompozycji formalnej.

Im nasilenie uczucia większe, im bardziej ma ono wybuchową formę, tem list krótszy, tem bardziej zbliża się do wykrzyknika. Co za żywiołowość wściekłej, „szewskiej“ pasji w genialnym liście, którego może nam pozazdrościć każda europejska literatura:

„Stanisławów oddałam i wynoszę się z ziemi halickiej, niech w nią piorun trzaśnie i w Pana Podkomorzego też. Caturę nóżki etc.“

Pani Kossakowska ma specjalny talent przewartościowywania słów. Krytyka, nabrzmiała jej żywą uczuciowością, koncentruje się w jednym, napozór obcem i obojętnym słowie, by strzelić z tej jego nowej wartości racą zgryźliwego sarkazmu.

„...Zauję“ — pisze — „substancji J Pana nieboszczyka Hetmana...“

Nieboszczykiem nazywa Klemensa Branickiego z racji jego flegmatycznego usposobienia, pozwalającego rozkradać majętność.

Niezadowolona (oczywiście!) ze stosunków, pisze, że woli wyjechać, niż „...tych zwierzchności *po-komponowanych* słuchać“. Narazie prócz tego jednego słówka niema innej krytyki. Lecz, czyż każda inna nie osłabiłaby tego niezrównanego efektu?

Podobnie koncentruje wyraz swego uczucia w jakimś pomyśle, przyczepionym ubocznie do tematu. Kpi z kandydatury Poniatowskiego, zaznaczając z powagą, że gdy inni brać ją będą pod uwagę —

„...ja Szpinka mam myśl na Sejmikach podać na kandydata“.

Szpinek — to żydek-arendarz.

Wogóle jej peryfraza ma niespotykaną świeżość, omawia rzecz realną przez drugą równie realną, lecz bliższą, tak bliską i powszednią, że... niespodziewaną, więc oryginalną i... piękną.

„...Do Imci Pana Generała Kraczetnika z ochotą pisałabym, lecz warszawskie wiadomości uczyniły go św. Antonim, że na kilku miejscach znajduje się...“

Gdzieindziej:

„...Życzysz poczciwych i sprawiedliwych sędziów... ale najpewniej trzeba by takich porodzić i toby chyba za dziewięć miesięcy byli, toż po niewczasie...“

Albo taka plastyczność w pomyśle:

„O księdzu Pawle ja nie wiem, gdzie on jest. Gdyby

przynajmniej, kiedy nie chce pisać, wołał kuku, żeby na głos pójść dowiedzieć się, gdzie on jest“.

„Korespondować a resposnu nie mieć, to właśnie, jak na wodę kichał...“

Szkoda, że postulat zwięzłości nie pozwala przytoczyć całego listu na dowód, jak wspaniale wytrzymuje pani Kossakowska ton emocjonalny, jak go cieniuje, nigdy nie pozwalając nieopatrzniemu wyrażeniu osłabić jego nasilenia. Wspaniałym np. rapsodem gniewu i despotyzmu są listy do panny Swieżewskiej i do Dominika Potockiego, którzy, wbrew jej zamiarom, ośmielili się pokochać (Listy 130 — 1).

Niekiedy dumne wyodrębnienie się od profanum vulgus graniczy z powagą szczytowych osamotnień: largo maestoso, w które je przyobleka, mają coś z dostojności rzeczy wiekiustych:

„Chcę być sama szyldwachem przy tych prochach, tam leżących; chcę patrzeć na czynności poważne i dla wspaniałości kraju fundowane, chcę i leżeć z niemi, z których miałam ozdobę życia; a czas też przychodzi zamknąć się przed światem i myśleć bez wesela o przenosinach“.

To tylko garść piękności, oglądanych z różnych punktów widzenia. Korespondencja pani Kossakowskiej zawiera ich wiele. Tak wiele, że, jak powiedzieliśmy, pasują ją one na największy talent epistolograficzny, talent na miarę europejską. Tej oceny nie obali świadomość pewnych niedociągnięć, pewnych pozostałości sarmackiego baroku.

Otwórzmy więc przed panią Kossakowską drzwi Panteonu Literatury i zdajmy sobie sprawę, że z nią wejdzie do niego dopiero druga, obok Drużbackiej, kobieta niepodległej, dawnej Polski, kobieta o piersi nie na miarę krawca.

Tak wysoką klasę gwarantuje jej nieprzeciętna oryginalność — oryginalność, odporna wszelkim wpływom, a przede wszystkim obowiązującym modę XVIII-ego w. wpływom francuskim. Oryginalność zdrowa. Męska. Z niejednego zresztą względu należą się pani Kossakowskiej wąsy, w wieku, który wiódł spór o wąsy, czy perukę.

Na zakończenie mała uwaga. Nie znamy w całości jej rozproszonej korespondencji. Wiemy tylko, że jest bardzo obszerna. Pro gloria naszej literatury trzeba ją odszukać i wydać.

A obok pełnego, naukowego wydania przydałoby się wydanie chociażby fragmentaryczne, popularno-naukowe. Wszak ogół musi poznać panią Kossakowską. Szkoła musi znaleźć pół godziny na przeczytanie paru jej listów.

Więc może Biblioteka Narodowa?

Dr. Stef. Skwarczyńska.



ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

3)

(szkie powieściowy)

Zimny, przelknięty szybko obiad pozostawił nie-smak w gardle. Gorzka także była rozkapryszona, dziecinna krzywda: nikt nie pyta, nie chwali. Niech sobie tam matka lamentuje! Niema teraz sił na rozwiązywanie czyichś spraw. Wszyscy żyją sobie. Życie każdego chodzi sobie tędy i owędy. W olbrzymiej masie bohaterskich zwycięstw i trudów człowieczych nie ma znaczący serdeczny wysiłek: matura. To jest tylko maleńka kropka, postawiona po skończonym zdaniu.

Pragnąć, a osiągnąć — to coś bardzo różnego...

Ach, trzeba teraz pośpiesznie wtulić się w nieświadomość snu.

*

Wiesz.

Rozlewna, skrętna taśma rzeki przewija się przez jasne wydmy piasku, przez zagęszcza olch. Woda pachnie miętą i rybami.

Przez złotogłów pól przesunął się hafciarz-czerwicz, naplątał w ruchliwe kłosa szafirowych i czerwonych supelków.

Przebiegają się leniwe, ciężkie ramiona sosen w serdecznych pocałunkach słońca. Tulą się do ziemi strzępiate koronki paproci, główki miodnych kaszek, misterne dzwoneczki.

Wakacje! Las!

Kwiciasta wiejska sukienka przylega szczelnie do ostrych, młodziutkich piersi. Opalone na brązowo, obnażone ręce tulą się jedna do drugiej. Pod rękami jest milion złotych igiełek słońca, wargi powalane sokiem jagód.

Wakacje. Rano pachną rosistą otuchą, w południe żywicą, wieczorem wilgocią łąk.

„Tamto“ już przeszło, minęło, jest bez znaczenia.

Z oczu spłynął szary obłok zmęczenia. Patrzają teraz jasno, żywo, nawskroś, w zieleń drzew, w złoto pól, w purpurę własnego serca. Lato na hojnej dłoni podaje nieskończone bogactwa kształtów, barw, zapachów. Wszystko jest ważne, nazwane, upragnione. Wszystko jest oparem młodego lata.

Rena opija się swobodą, słońcem, urokami przyrody. Urle (letnisko szkolne) smakuja lepiej, niż lat poprzednich. Znowu ten ukochany, drewniany domek, znana weranda, podrośnięte akacje przy oknach. Znowu pachnący las, leniwy Liwiec, znajome ścieżki wśród żyta. W niedzielę przyjeżdżają goście. Marek, koledzy, kuzynki (ojciec — nigdy). Przywożą ciastka, gry, apetyt na humor (i na pieczone kurczęta). Szaleją cały dzień. Wieczorem tańczą w drewnianej, śmiesznej budzie przy stacji. Rena żegna wesoło, umykające w noc wagony: dowidzenia! za tydzień!

Na codzień niema towarzystwa. Ale bynajmniej nie jest nudno. Bose nogi ślizgają się po igliwiu i mchach, to znów miedzami.

Można skryć się w gąszcz drzew, myśleć, albo czytać (powieści dla dorosłych). Można także leżeć na „plaży“ i obserwować:

Ten chłopak w czarnym trykocie ma twarz starą, a ciało dziecinne; ładne są mocne nogi tego skoczka; dziewczyna pod parasolką marzy o sympatji swojego sąsiada; śliczne, okrągłe stworzonka — to nagie dzieci.

Na plaży można widzieć nietylko formy, ale i treść. Podświadomie najwięcej uwagi poświęca się mężczyźnie. Tylko, że mężczyzny, jako wyrazu wyobrażeń psychicznych — niema (może niema tu, a może wcale). Ci z placu tenisowego, ze stacji, z kąpieli — to zupełnie co innego. To, jak niedokończone pomysły. Nawet ten jeden z „niedzieli“, choć miał oczy właśnie „takie“ — okazał się... właścicielem kiosku. Tu, w Urlach, niema takich „rafaelowskich twarzy“, o których mówi Jola (pisze ze Szwajcarii): „...i nie uwierzysz, Renuś, jak się zakochałam w tym biednym, chorym chłopcu. Ale tu wszystko smutne, nawet miłość... Niedługo wracamy...“

Pocziwa „mimoza“.

Rena uplotła wianek z macierzanki. Rzuciła się na trawę. Z kieszeni wydostała surową marchew. Dore! Pachnie ziemią i słońcem! — Gryzie głośno.

Słońce całuje mocno w plecy. Żywica pachnie.

Dymek w najbliższej willi idzie wolniutko, równo do góry, wtapia się w całość z niebem.

Żywiczne południe...

Po obiedzie pani Bracka siada w trzcinowym fotelu. Kończy haftować kolorami piękną serwetę (fiolki alpejskie i narcyzy). Rena niewiele rozmawia z matką — ale wie — tutaj jest jej znacznie lepiej. Włosy gładko przyczesane, lepsza cera, nawet mdły uśmiech. Matce tu dobrze. Czy dlatego, że wieś, czy, że zdala od ojca? — myśli Rena i woli nie pytać. Są we dwie. Żyją sobie.

Gdy zwarty kobald nieba rozstrzępią ostre światelka gwiazd, gdy rozegrają się polne koniki — słuchają i patrzą razem.

— Mamo, życie jest cudne!...

— Może być cudne — poprawia lękliwie matka.

Temat tamtej historii leży nieporuszony. Został w mieszkaniu warszawskim. Aż wreszcie musiał go tu przywlec Marek, ku niezadowoleniu Reny. Wpadł w poniedziałek niespodziewanie, dużo i głośno mówił z matką. Napróżno Rena chciała go wypytać.

— Ah, bałagan domowy! — zachnął się i wpadł w biegu do wagonu.

— Marek chce, żebym wracała do domu — poskarżyła się cicho matka.

Nie wiadomo, skąd wzięła się w Renie opiekuńcza decyzja.

— Ja tam zajrzę. Może ojciec chory. Nie martw

się, mam. Posiedź ty tu sobie spokojnie — przyzwoliła łaskawie.

I rzeczywiście nazajutrz wieczorem wybrała się do miasta.

Przykro drapią w ciało pończochy, rękawiczki, kapelusz — cały balast kompletnego ubrania. Wyparowana, duszna atmosfera ulic dławi gardło. Znajome schody wydają się bardzo wąskie i wysokie. Ciemno. Klucz zgrzyta cichutko w zamku. Czy też zastanie ojca? O, jest światło w gabinecie. Trzeba mu zrobić niespodziankę... cichutko... pójdzie od poczekalni... ale zaraz... słyhać przyciszoną rozmowę... Klient o tej porze?... Nie dają mu spokoju te nudziary... kobiece głosy... trzeba przeczekać, aż wyjdzie... nie można przeskadzać.

Reszta mieszkania pusta, nieprzyjemnie ciemna. Tylko od szklanych zamkniętych drzwi gabinetu padają dwie jasne smugi. Na szybach śmieszne dwa cienie (ale czemu tak szepeczą?).

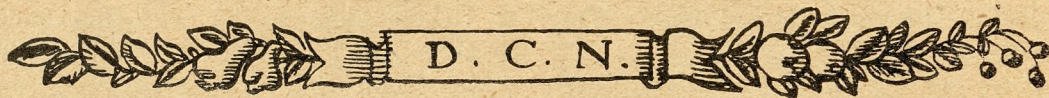
— Zdawało ci się, Eluś, to ktoś z przeciwka. Marek wraca zawsze po dziesiątej...

— Będziesz jutro w Italji?...

— Nie, nie mogę, jutro nie... ale co znowu! tylko ciebie... Nie odchodź jeszcze, Eluśka... pocałuj... Eluśka... no... Eluśka... kochana...

— Puść już, puść... dosyć...

Rena chce najpierw krzyknąć. Ale wstyd, piekąca fala wstydu zalewa gardło (jest teraz zupełna ciemność... tylko wałą tętna w skroniach). Zaciśnięły się pięści aż do bólu. Wyostrzył się słuch. Tak, to nie sen. To znów głos ojca, syczący uśmiechem (i nieznanym szeptem...). Powoli, powolutku mieści się w duszę zrozumienie. Można nawet ustalić kolejność wrażeń: dawne niesnaski w domu, płacz matki, powiedzenia Marka („ta warjatka baba z pretensjami“), jeden obraz w kinie, i teraz to... *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska.*



COŚ NIECOŚ O WRÓŻKACH

I.

Zarliwość, skomplikowanie.

Pani Leonowa utrzymuje się z wynajmu „mieszkań pojedynczych“, tych, do których to „Przyjmuje się kawalera, albo pannę porządną“. Ale świadomi rzeczy wiedzą o jeszcze jednym źródle zarobku żwawej gospozi: w pewne dni i o pewnych godzinach na drzwiach zawisa kartka, pozatem wstydliwie skrywana w głębi szuflady: „Wróży się z kart i z ręki, także horoskopy, magja i najnowsza strologja“.

Pani Leonowa jest osobą z dobrej rodziny, a córka jej — to artystka: na g e r l s e rewjową idzie. Matce nie w smak, żeby dziewczynie od cyganek przyprawiali. Pani Leonowa swoją klientelę wybraną ma, w poniedziałki i piątki godziny przyjęć ustanowiła, a żeby uzyskać u niej audjencję, trzeba się koniecznie powołać na panią profesorową (mąż jej udziela gimnastyki w szkole powszechnej), albo na pannę Klotyldę, właścicielkę pracowni krawieckiej, albo wreszcie na którąkolwiek inną spośród lepiej sytuowanych „pacjentek“. Wyrekomendowawszy się, niewiasta nieco spieszona wchodzi do niewielkiego pokoju, w którym okno przesłonięte jest pluszową bordo portjerą — światło pada od stojącej lampy naftowej, zlekka filując. Stół nakryty serwetą gustownej krzyżykowej roboty. Leniwy bury kot sennie ociera się o nogi...

— Bury on, a nie czarny — śpiewa mile pani Leonowa (sympatyczna wróżka ród swój z nad Niem-

na wywodzi) — żadne tu, pani serdeczna, u mnie czarodziejstwa nie dzieją się. Że elektryki niema, tylko podawnemu naftusia skwierczy, to już, mileńka, u gospodarza spytać potrzeba. Onże sknera nieużyty, światła m o d e r n e użyczyć mnie bidnej nie chce. A ja, pani moja, za nowoczesnością stoję. U mnie ta wszystko nowoczesne, naukowe, metodyczne. Mąż mój dentysta był...

Amerykańskie okulary zakłada pani Leonowa, rękę podaną sobie długo, skrupulatnie ogląda. Sprawdza zawile znaki i cyfry na okrągłych tablicach, podzielonych na fantastyczne pola, ślicznie kolorowo pomalowane. Potem napisać każe na kartoniku piórem specjalnie przygotowanym (fioletowa z czarnem obładka, a stałówek dwa rodzaje: rondówki i śpiczasto zakończone) datę i miejsce urodzenia, imię swoje i imię miłego... Potem znów porównuje, wpatruje się z takim natężeniem, że małe kropelki potu występują jej na czoło. I mileczy, mileczy przez cały czas surowo, gniewnie niemal, a skłopotana, rozdygotana wizytorka ma przez cały czas poczucie ciężkiej na niej deza-probaty. I cóż za ulga wreszcie, gdy uroczyste, w rogowej oprawie okulary zostają nasunięte na czoło, a „wieszczkę szal porywa“! Ów wieszczę szal objawia się zresztą raczej niewinnie i przytulnie: pani Leonowa mówi, mówi dużo i płynnie, śpiewnie przeciągając końcówki, pomagając sobie okrągłymi gestami pulchnych, różowych rąk.

— U Niemców teraz nauczniak taki się znalazł, Freud na nazwisko ma. U niego wszystko, pani ty moja, zmysły i ten... seksualizm. Płeć, znaczy. Duszy niema, mówi. Znaczy, cóż? zwierzęta z nas zrobić? A ja znów powiadam: technika, nowoczesność, ale z duszą stowarzyszone. Astronomja Duszy — ot, jaka moja specjalność. O płci ja pani mówiła nie będę. O aurze, o planetarnych zagadkach będzie u nas, pani ty moja, gawędka. Czy on blondyn, czy czarnowłosy, to już ty się o to pierwszej lepszej ordynarnej cyganki przepytaj. A ja powiem, jakie jego stanowisko w kosmosie. Jakie pomiędzy wami fluktuacje, jakie fale eterowe (a może radjowe) dzielą was i łączą. Bo ze mnie nie czarownica żadna zabobonna. Mój mąż dentysta był, a ja na fizyce się rozumiem, w tej... jakże jej tam — biochemji się wyznaję. Tylko ten, z prze-proszeniem, seksualizm. mnie nie para...

Kot mruczy, lampa filuje. Rozcierwieniona, przejęta pątniczka wchłania niezbite prawdy, w zawile techniczne terminy obleczone, które jej apostołka magji naukowej i nowoczesnej „wiedzy dusznej“ do wierzenia podaje. Laboratorjum...

II.

Prostota.

Żadnej tabliczki na drzwiach niema, nie izby żenowano się tu swego rzemiosła. Wręcz przeciwnie: czerpie się zeń poczucie wyższości w stosunku do wszystkich sąsiadek z całej posesji. Ale tabliczka — to luksus; z finansami krucho, a pani Zadyszka i tak ma już ustaloną renomę. Trochę to przykro zwać się Zadyszką, zwłaszcza przy wybitnych pythyjskich skłonnościach. Ale cóż tam nazwisko! grunt — to przecież charakter, no i uroda. Pani Zadyszka jest nieco przytłusta i oddech ma krótki (jak Pan Bóg przykazał, zgodnie ze swem nazwiskiem). Ale w młodości (w tej pierwszej młodości, bo i teraz jeszcze bardzo leciwa nie jest) była poprostu — wedle słów własnych — „łania, nie dziewczyna“. A charakter — złoty.

— Jak karta źle klientce wypada, to mnie aż zemdli czasem. Taka wrażliwa jestem. Będzie temu z pół roku, przychodzi do mnie znajoma. Wymalowana, wysztafirowana; od słowa do słowa: zadurzyła się kobita. Mówi: tak i tak, żeby jej kabałę postawić. Ja znów: cóż, kabała, to kabała. No, i moja pani, co karty wymiesza, co wyciągnie — śmierć temu brunetowi (bo brunet był) wyciąga. Ja jej, jak komu mądrymu, radzę, żeby przecie o nim zapomniała, z innym się związała, bo on już, ani chybi, w tym roku jeszcze na Brudno się przejedzie... A ona nawymyślała mi, grosika nie zostawiła, zabrała się i poszła. No i co się nie robi: w samych Czterdziestu Męczenników wychodzę ja na ulicę, patrzę — karawan, moja pani, jedzie, ona za nim, w welonach, jak ściana biała... Co pani na to powie? Mnie aż ludzie z ulicy do domu musieli odprowadzać, przejęłam się tak! Delikatne mam zdrowie...

— No, a cóż z tą biedną wdową?

— Ano cóż, w zeszły piątek przytrajdała się tu do mnie, przepraszała za niewiarę, głową kiwała. No i znów jej kabałę musiałam stawiać, bo teraz jeden kontroler od tramwajów o nią zabiega. Nie można powiedzieć, karta dobrze szła...

Pani Zadyszka wróży z potrójnych kart. Na jednych śliczne obrazki, namalowane własnoręcznie przez jej chrześniaka (uczeń szkoły technicznej, a jakże), więc: klucz, kotwica (nadzieja), krzyżyk (troski i nieszczęścia), trumna, bocian (symbol raczej przejrzysty) i wiele innych. Wszystko odpowiednio kolorowane: więc kotwica na tle zielonem, klucz kanarkowy (miał być złocisty, ale farby zabrakło), a trumna ponuro czarna z biskupim fioletem na wierzchu. Inne karty zwykłe, jak do kabały, jedne mniejszego kalibru, inne większe. Rozkłada się je na trzy kupki, z każdej jedną się wyciąga: dla serca, dla umysłu, dla fortuny. Albo znów inaczej: co się zdarzyło, na co celujesz, co być musi. Długo i sumiennie stawia kabałę pani Zadyszka; za swoje 2 i pół złotego człowiek się i strachu naje, i nadzieją się nakarmi, i o ciekawych, czasem aż krew w żyłach mrozących, spełnionych przepowiedniach się dowie. Tylko czasem przerwa nieoczekiwana w denerwującym seansie.

— Jacuś (chrześniak) ze szkoły przyszedł, tylko mu kawy naparzę, moja pani złociutka, już się ten momencik wstrzymajmy... Jacuś, smyku jeden, piątkę jakąś przyniosłeś? — I szum gotującej się kawy zlewa się ze stukiem strwożonego serduszka.

A czasem znów innej natury wizyta. Przez drzwi uchylone ręka o żalobnych obwódkach przy paznogiach podaje dymiące żelazko. Pani Zadyszka z piskiem radosnym zrywa się z krzesła, rzucając na stół lekkomyślnie damę pik („przeszkoda — ale on się z nią rozwiedzie, ja pani to mówię“).

— Pani Jakóbowo poczcziwa! W samą porę to żelazko, bo ja ognia dzisiaj nie paliłam... Już mi paniusieczka daruje, ale „hemdhozeny“ sobie dzisiaj wyprałam, to już je sobie i wyprasuję, póki dusza gorąca. Niech się pani nic nie boi, już aby ja spamiętam, co tam nam wychodziło. A już za jednym zamachem i ten szlafrok sobie narządę, dostałam go w prezencie od tej bogatej mecenasowej. Imieniny we środę miałam, ale, moja pani, czy to ona nie mogła na coś lepszego się zdobyć? Marny taki szlafrok, a za to wszystko, co ja jej wywróżyłam... Straszne sknery teraz po świecie chodzą, że to się Pana Boga nie wstydzili!

A przecież na dnie tych oczu, które toną prawie w fałdach tłustej twarzy, czai się coś więcej, niż zwykła babska chytrność. Pani Zadyszka, wróżka o szekspirowskim nazwisku, posiada dar niezwykły, niepojęty, jak niepojęte były przed laty praktyki czarownic: intuicję. I sceptycznie nastrojona dama, która przez uprzejmość powstrzymywała się tylko od uśmiechu w obecności „wróżki“, budzi się nagle w nocy w swojej modernistycznej sypialni i myśli:

— A jednak — coś w tem jest...

Leonja Jabłonkówna.

W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

„Garçon, une glace vanille!”

— Garçon, une glace vanille!

Oto lipcowy frazes, który słyhać wszędzie w Paryżu, choć słońce już się chowa za korynki portyk kościoła Magdaleny. Ale upał dalej ognisty: 38 stopni Réaumura — temperatura, w której nad Nilem wykluwają się z jaj krokodyle.

Letnie miasto leżało roztopione w mgie światła. Żaluzje zamknięte, zawiasy hotelowe rdzewieją, dach słonecznego żaru wisi wciąż jeszcze bardzo nisko. A jednak piękny jest Paryż...

Pani Zofja, nie będąc zaślepioną, była entuzjastką Paryża, widziała liczne wady jego mieszkańców, ale w duszach ich znajdowała coś, co do niej przemawiało. Zatruta była Paryżem, jak haszyszem. Dzisiejsze miasto żyło dla niej w różnych epokach swego rozkwitu: kochała historyczną przeszłość Lutecji i jej zabytki: Place Royale, dom rozpusty za Regencji, bazar europejski za Ludwika Filipa, głuchą nieomal prowincję za Napoleona III. Ciekawiła ją dzielnica Temple ze swym otwartym rynkiem, ze swą ludnością frypiarów (alias fryponów), sprzedających na ulicy, między dwoma rynsztokami, pióra marabutów, lejety dla dzieci i żołnierskie uniformy.

Kto wie, czy nie dlatego Paryż tak miły, że tak różny?

Bała się, że ponad wszystko wyniesie się Bursa obecna jej świątynia, co do kształtu kopja greckiej



...Nawet Charivari wyczerpały do dna kwestję krynolin“...

świątyni, której znaczenie sobie przywłaszczyła; lękała się pani Zofja, że rentjerzy i episjerzy nadadzą kochanemu miastu brzydki charakter.

Żywo zajmowała się jego losem, włączeniem przedmieść, które centrum powoli pochłaniało, odbierając właściwe im cechy. Co wówczas stanie się z Neuilly, ogrodów pełnym, co z Passy Balzaka, co stanie się z polskimi Batiniolami?

Oto sto miasteczek o odrębnym typie wciel w siebie olbrzymie miasto. Nie przewidywała, że stworzy się konglomerat stu miasteczek.

Tylko wyspy pozostaną na uboczu życia, tylko mieszkańcy ich, odcięci od reszty świata, uchronią inność swych pojęć i obyczajów! Nie przewidywała, że trwać to będzie, póki dolar nie stanie do walki z frankiem.

Trochę się też bała roli Napoleona III-ego. Jest on dobrym mistrzem ceremonji, albo raczej wykonawcą cudzych projektów. Małpuje Napoleona I-ego, jak Napoleon I-szy małpował Rzym. Choć przecież należy się cesarzowi podzięka, bo od pierwszej Ekspozycji Powszechnej, od roku 1855-ego, Paryż — to już nie meteor, ale ognista gwiazda, pewnie i spokojnie płonąca. Należy się cesarzowi podzięka za to, co dla stolicy z pomocą barona Hausmanna uczynił. Powstały arcydzieła perspektywy, zaczęto stawiać domy nie tylko z uwzględnieniem bezpieczeństwa, ale i z dbałością o harmonję z sąsiadującymi domami.

Paryż jest spokojny, piękny i bogaty.

Ale temu cudnemu miastu zagraża niebezpieczeństwo. Budowlomanja. Napoleon III-ci budzi obawy na przyszłość. Ulice, wyciągnięte pod strychulec, stracą swą malowniczość i staną się banalne. Paryż, wyciągnięty pod sznur, będzie monotony i nudny, jak bukszpanem wysadzany wirydarz pana burmistrza. Halle — śpiżarnia pośrodku grodu, wokół której mieszka ją szafarze — gdy miasto się rozrośnie, zawadą jego być może. Sebasto — tę szeroką ulicę przecięto, aby ozdobić stolicę. Ale to świetna droga dla armat, wymierzonych na miasto. Otworzono więc kanał dla lekarstwa, najbardziej uzdrawiającego nowożytnie społeczeństwo — dla kartaczy.

Ludność Paryża wszystko, co czynił Cesarz, przyjmowała z dobrotliwą obojętnością. Za czasów znieawidzonego Ludwika Filipa, gdy rząd najmniejszą chciał przeprowadzić zmianę, przyszyć choćby jeden więcej guzik do żołnierskiego kamasza, dzienniki wrzeszczały na całe gardło, a każdy mieszczuch po przeczytaniu artykułu napuszał się, kładł ręce do kieszeni i groził: „Il faut que je donne une bonne leçon au gouvernement!"; i obecnie w czasie uroczystości, związanej z otwarciem bulwaru, tłum zdziwiony nieco pomysłem rozszedł się, krzycząc: Vive l'Empereur!

Zofja lubiła też to miasto w jego zewnętrznych zmianach: jesienny, umysłowy Paryż; zimowy — rozkarnawalowany; wiosenny — rozmarzony i letni — senny, opuszczony przez wybrańców losu. W Paryżu pozostaje tylko praca, owa surowa matka wielkich rzeczy, która w parze z potrzebą cuda płodzi.

Paryż w lipcu — to jeden warsztat, jedna wielka pracownia, zapełniona kurzawą i rusztowaniami, odurzająca stukiem wszelkiego rodzaju narzędzi, wonią wapna, pokostu, lub gotującego się w ogromnych kotłach asfaltu; brząca ochryplym krzykiem przekupniów, sprzedających zielony groch i sałatę, a nakryta dachem słonecznego żaru, który ulice i place zmienia w cztery kondygnacje Dantejskiego piekła, gdzie deszcz siarczysty pali, a nie pożera potępieńców.

Tak będzie, póki nie przyjdzie Królestwo Boże na ziemi.

Ktoś musi naprawiać bruki, aby inni chodzić po nich mogli...

W powietrzu letnia nuda. Nic się nie dzieje w mieście i niema o czym pisać. Nawet Charivari są jałowe, wyczerpały do dna kwestję krynolin, które ani o jeden cal nie zmalowały — kwestję komety i burzowych kołowrotów. Norwidowski Evenement — bóg dzisiejszego pokolenia, zawiesił swe urządowanie.

Do teatru iść niema pogo, w teatrach nic ciekawego. Odczuła, jak nigdy bardziej, nadętość tragedji, ciężkość melodramatu, nicość wodewilu. W takie dni wszelka sztuka sztuczną się być wydaje. Poprzedniego dnia, z dziennikarskiej konieczności była na Hamlecie i nawet Szekspir ją zmęczył, choć aktor był raptuśny, jak warjat, a nieujęty, jak marzenie.

Co czynić w dzień taki? Latać pod obłokami, na dwa tysiące metrów nad Paryżem, jak sławny aeronauta Godard. Wrażień, daj mi wrażień! Gdyby miała franków tysiąc, zapłaciłaby haracz, aby w łodzi, jak pająk na nitce wiążącej, pod jedwabną kulą unieść się wysoko. Ale nie miała tysiąca franków, nawet o wiele mniej nie miała... Co czynić w dzień taki? Żywiej jeszcze, niż zawsze, potrzeba obcowania z przyrodą dręczyć ją poczęła.

W Tuilerjach siedzieć i myśleć, że drzewa te kolejno podlegały iluminacjom na cześć różnych władz i różnych władców. Że dziesięć było pokoleń królewskich, że pałace królewskie we Francji są gospodą, gdzie się popasa, nie mieszka; że w czasie rewolucji te klomby, na których bujne teraz kwitną kwiaty, więcej krwią, niż wodą skrapiane były i że ścieżki złote prochem, nie piaskiem, posypywano. Inwazja ta dała jednak ludowi możność dostania się do parku. Aby go poznać, trzeba było wydrzeć zeń kwiaty, żeby go pokochać, trzeba było być z tej ziemi. Odmłodzony ogród stracił pamięć przeszłości Burbońskiej i odtąd łatwo wszelką pamięć zatracca, w każdą nową wierząc potęgę.

Tu, w tym parku, w księżycowe noce, wśród pomarańczowem kwieciem obsypanych drzew, Juljusz

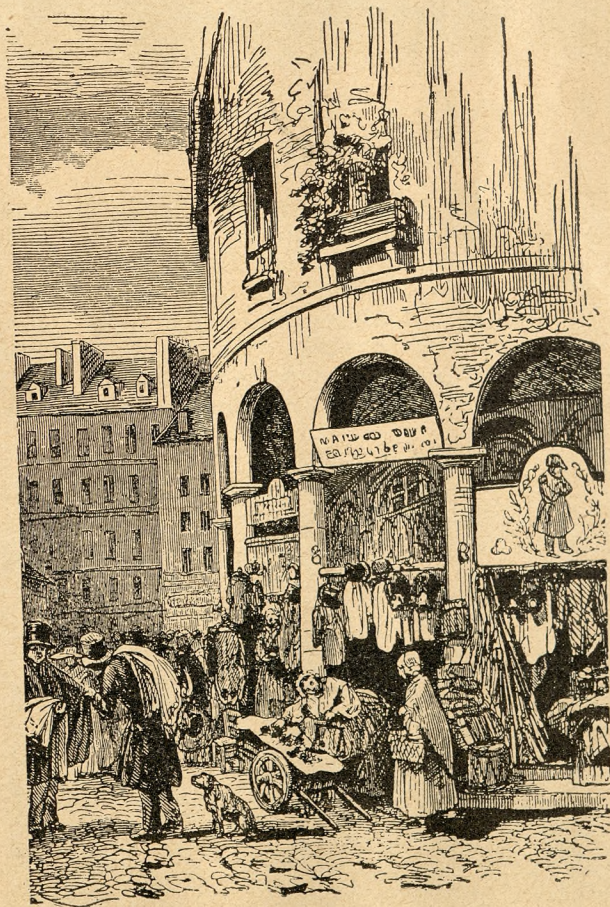
Słowacki spacerował ze śliczną Corą Pinard. A w drukarni ojca jej, djamentowym blaskiem osypane poezje w dwa pierwsze tomiki się układały... Kochała go dziewczyna, on zaś lubił kruszyć serca... i patrzeć, jak one kruszeją. Pani Zofja uśmiechnęła się do tego, nieznanego sobie obrazu wielkiego poety... Nie chciało się jej iść do Tuilerjów...

Do Saint-Cloud pojechać, i chodzić po dalekich alejach, i patrzeć, jak po gazonach pawie wloczą swe gwiazdziste ogony, nic nie wiedząc o tem, co za niespodzianki najbliższe lata miejscu temu niosą. Saint-Cloud! Cicho, cicho tak, że słyszysz brzęczenie pszczoły na rezedzie, że słyszałbyś głos z Polski. Jej też nikt nie wołał...

Do Saint-Germain się wybrać, po parku chodzić, gdzie lubił się o zmroku przejeżdżać, otulony szalem, Chopin, słuchając kłaskania ukrytych w krzewach słowików.

Zapóźno iść podziwiać kwiaty... przekwitły już w Bagateli hufce bengalskich róż, czule paljowe i ponsowe, tak promiennym oblane blaskiem, iż patrzeć na nie trzeba, przysłoniwszy oczy. Najgorsza z nich w Polsce byłaby królową. Zbladły jasne pola, gdzie, wabiąc kolcami i pieszcząc zapachy, mrugały złotem swych oczek. Zdawało się, że to rusalki i dziwożony paryskie, poloniny wymalowały cudnymi barwami, że to one pergole i altany owinęły sztukami ljońskiego jedwabiu — na zielonem tle jasne plamy światła i kolorów.

Aura Wyleżyńska.



La Rotonde du Temple (według Valentin'a).

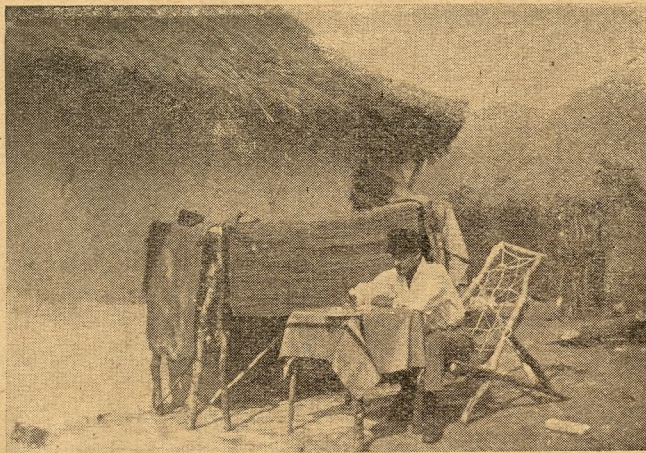
ANGOLA

Pierwsze wrażenia z ładu afrykańskiego — podróż z Lobito do Fazendy.

Wobec coraz częstszych wśród naszej inteligencji decyzji wyjazdu do Angoli, w celu osiedlenia się tam na stałe, Czytelniczki nasze niewątpliwie z zainteresowaniem powitają korespondencję, pisaną przez jedną z pierwszych kobiet polskich, które wyjechały do Angoli.

Po długiej, bo aż 23 dniowej, podróży morskiej z Hamburga dobiliśmy do upragnionego celu: Angoli.

Ze wzruszeniem wstępowałam na łąd afrykański — marzenie moje z lat dziecięcych (rozbudzone zapewne pod wpływem czytania ulubionego *Robinsona Kruzo*), które przetrwało do dni dzisiejszych. Po ochłonięciu z uczucia pierwszej radości, spowodowanej widokiem męża, oraz grona miłych rodaków, oczekujących w porcie, ogarnął mnie lęk przyszłości.



Tak wyglądają sprzęty, własnoręcznie robione przez Europejczyków w Angoli.

Jaki też los zgotuje nam ta „Ziemia obiecana“, ile zawodów i rozczarowań czeka nas na tej dalekiej obczyźnie?... Już w drodze bowiem zdażyłam się dowiedzieć, że i tutaj ogólno-światowy kryzys daje się mocno we znaki i że miejscowe władze, w obawie napływu emigrantów, czynią coraz nowe trudności. Ostatnie urzędowe wiadomości z dn. 11.III b. r. — to wstrzymanie wydawania pozwoleń na wyznaczanie



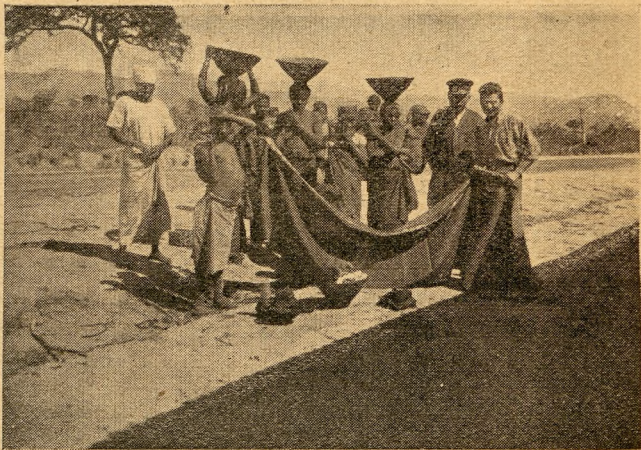
Przed chatą murzyńską.



Udeptywanie gliny na dom w takt pieśni.

terenów dla cudzoziemców oraz nałożenie podatku 500 angolarów (200 zł.) rocznie od osoby, płatne przez 5 lat. Ciężko jest Polakom w Angoli bez opieki konsula, której nie są pozbawione inne narodowości, np. Niemcy. Ale trudno — przyjechało się z postanowieniem wytrwania i zwycięstwa!

Powróćmy jednak do wrażeń. Ponieważ musieliśmy się zatrzymać 3 dni w Lobito, gdzie w bardzo nielicznych hotelach trudno o pokoje i ceny ich są niezmiernie wygórowane, emigranci nasi urządzili się



Miejscowy handel z murzynami.

nader praktycznie i oszczędnie, rozbijając namioty nad brzegiem Atlantyku (pozbawionym dokuczliwych moskitów), biorąc służbę ze sobą i prowadząc nawet kuchnię, znacznie smaczniejszą od miejscowej.

Doprawdy, trudno o bardziej urocze pomieszczenie! U stóp, o 20 kroków w dół szumiący Ocean, a nad głową księżyc afrykański, bardzo jasno oświetlający wybrzeże i leżącą poza nami zatokę półwyspu, na którym zbudowano port Lobito. Noc ciepła i parna, powietrze przesycone solą. Leżąc w namiocie, podziwiamy płynące okręty, które wyglądają wprost bajkowo w oświetleniu różnobarwnych lampek. Zdąrzyło się nam nawet ujrzeć olbrzymiego rekina, pływającego przy samym brzegu.

Osobliwością dla Europejczyka jest możliwość pozostawiania walizek i drobiazgów bez dozoru, z przeświadczeniem, że nawet szpilka nie zginie. Nie



Polacy z tubylcami.

jest to jednak objaw uczciwości murzynów, raczej uznanie autorytetu białego człowieka.

Po 3-ech dniach szalenie upalnych (boso po piasku chodzić nie można) jedziemy do naszej fazendy 450 klm. autem. Po bardzo stromej i krętej drodze wspinamy się w górę do wysokości 1.700 metrów, mając z jednej strony skały, z drugiej przepaście. Okolica prześliczna, dostarczałaby tysiącznych motywów najwybredniejszemu pejzażyście. Roślinność bujna, olbrzymie baobaby, palmy, banany, kaktusy ogrom-



Tak wygląda „droga” w Angoli.

ne, oraz setki drzew i krzewów zupełnie mi nieznanymi. Kwiaty, dziko rosnące, tak piękne, że byłyby ozdobą w oknie pierwszorzędnej kwaciarni warszawskiej.

W świetle reflektora, umyślnie przymocowanego z boku przy aucie, ujrzeliśmy na gałęzi wysokiego drzewa czerwone oczy. Emocja! Hr. Z., jadący z nami, wyskakuje ze strzelbą i zabija niewielkie „biszu” (nazwa murzyńska dla wszelkich szkodników, drapieżników, zwierząt, owadów i t. d.), coś w rodzaju małpy o bardzo ładnym, puszystym futerku. Spotyka się na drodze i duże drapieżniki; mój mąż naprzykład, jadąc po mnie do Lobito, zabił panterę. Po przebyciu 50 klm. widzimy zmianę flory i fauny: drzewa

karłowacieją, roślinność się przerzedza, a pośród traw wystają czerwone termitery — kunsztowne budowle pracowitych termitów, wyglądające zdala, jak zamki warowne, najeżone basztami, oczywiście w miniaturowym.

Przejeżdżając około fazendy portugalskiej, wstępujemy, aby się posilić, zjedamy solidne śniadanie; na wyjeździe chcemy kupić owoców; przynoszą ogromny kosz, pakujemy go do auta i ku naszej wielkiej konsternacji gościnni portugalczykowie nie chcą za nie wziąć zapłaty. Owoce, choć różnorodne i obfite, nie są zbyt smaczne, ananasy warszawskie lepsze od tutejszych, które mają mało aromatu i są drzewiaste; niezłe są banany oraz neszpry, wielkości małych węgierków, z kształtu przypominające gruszki-ulegalki. Pomarańcze, chociaż słodkie, dosyć suche.

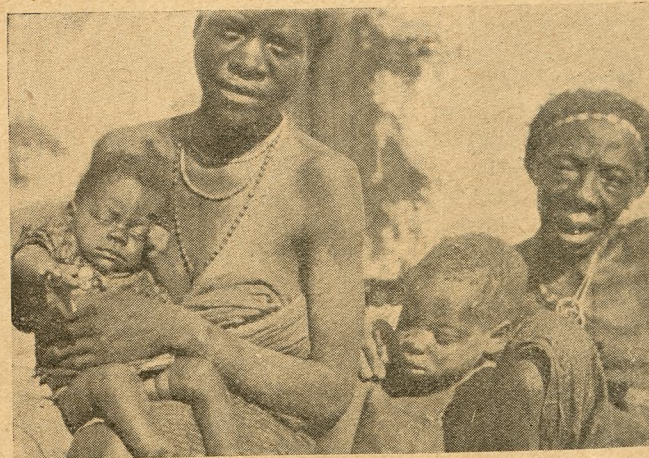
Przy szerokiej, wspaniałej drodze koloru palonej cegły (właściwość tutejszej gleby) spotykamy sporo



Pierwsza wizyta.

dzikich pentarek, które, o dziwo! nie uciekają na widok myśliwego. Kilka z nich powędrowało do naszej spiżarni. Przy naprawie drogi, w pewnych odstępach, pracują rzesze murzynów, obsadzając ją agawami. Widok tylu czarnych przygnębia mnie, uprzytamniając odległość, dzielącą nas od kraju, z którym, Bóg raczy wiedzieć, na jak długo się rozstałam!

Halina Dekajska.



Murzynki z dziećmi.

CO MOŻNA ZROBIĆ

Listy, przychodzące do redakcji, są jedną z ciekawszych stron pracy publicystycznej.

Przypływa z nimi bowiem do naszych biur ek samo życie, za ich pośrednictwem czujemy żywy kontakt z tą masą, której nazwa sama oznacza, że rzesza ta *czyta*, co piszemy; jak jednak interesujące jest, co ta zbiorowość do nas mówi! Może myślicie Panie, że mówi przeważnie o artykułach, biorąc pod uwagę ich stronę fachową, lub o beletrystyce? Bywa i tak, ale nie to jest najważniejsze.

Czytelnicy i czytelniczki piszą częściej o życiu samem.

Jego zagadnienia codzienne, jego troski i kłopoty są tematem tych listów.

O redakcji przypuszcza się zgóry, że powinna wiedzieć wszystko: gdzie jest jaka szkoła, sklep, pracownia; jak się ubrać na ślub ranny, a jak na wieczorny; gdzie urządzić pływalnię i jaki obrać zawód.

Redakcja zaś stara się wszystko wiedzieć, bo ma pewną większą potemu łatwość, niż np. czytelniczki, zamieszkałe zdala od stolicy — centrum informacji.

Gorzej bywa jednak, gdy jakiś list, napisany z największym zaufaniem, trafia naprawdę wprost z serca do serca i chciałoby się poradzić, a rada trudna, bo nietylko o informację, o wskazówkę chodzi, ale o istotną pomoc.

Ktoś nie ma posady, ktoś biedzi się ciężko z małeńkimi dochodami i chciałby ulżyć rodzinie, doroobić coś; co poradzić?

A tych zapytań przychodzi teraz dużo, bardzo dużo. I głównie od kobiet.

Przyczyną jest i ciężki kryzys ekonomiczny, i to, że wiele jeszcze mamy kobiet nieco starszych, nieprzygotowanych dobrze fachowo do jakiegoś zawodu, i młodych, które nie mogą zdecydować się na jego wybór.

Kryzys ekonomiczny jest zjawiskiem, złożonym z bardzo wielu poszczególnych czynników; rozważenie niektórych z nich może nam jednak wskazać nietylko przyczyny, ale i środki zaradcze.

Konieczność wyrównania budżetu państwowego spowodowała obniżkę pensji urzędników i zmniejszenie personelu w instytucjach państwowych. Zmniejszenie obrotów wywołuje poniekąd te same objawy w wielu urzędach, fabrykach i biurach prywatnych.

Jest to objaw bezwzględnie smutny dla poszczególnych jednostek, lecz z punktu widzenia stosunków ogólnych raczej pożądany. Inicjatywa, energia, pomysłowość śpi zwykle smacznie w krajach, gdzie za dużo „urzędników“.

Dla kobiet specjalnie zawód biurowy jest najmniej korzystny spośród wielu innych, i one najczęściej iść powinny na drogę samodzielnej inicjatywy zawodowej, stwarzając nowe warsztaty pracy, nietylko dla siebie, lecz i dla innych kobiet, którym tak często, i bez finansowego kryzysu, ciasno bywa tam, gdzie konkurują z mężczyznami i pozostają pod ich kierownictwem.

Tak; ale, powie ktoś, jest kryzys: gdzie te korzystne zawody?

Mam wrażenie, że dużo możnaby zrobić w tym kierunku, gdyby dobrze rozważyć koniunktury i zespolić wysiłki. Dla przykładu weźmy handel; zobaczmy, że dzieją się tam nieraz dziwne rzeczy.

Jest kryzys i każdy się ogranicza, a jednak nawet powierzchownemu obserwatorowi łatwo zauważyć, że są np. sklepy, które jakby tego nie odczuwały: klientów zawsze pełno, obrót żywy, często bywa nawet chwilowe wyczerpanie jakiegoś, zwłaszcza gwałtownie sezonowego, towaru.

I to w każdej branży, od spożywczej do sportowej. Tajemnica? — Sklepy te są dobrze zorganizowane, mają dostateczny kapitał, umieją dać klientom to, co jest im potrzebne, i zastosować kalkulację cen do możliwości kupujących.

Przeciwnie, widzimy gdzieindziej tego samego rodzaju zakłady, formalnie marniejące. Przyjrząwszy się im jednak bliżej, nie zdziwimy się zbytnio: zwykle brak tam albo dobrego, świeżego towaru, albo wyboru, albo gustu, albo niezbędnej gotówki zakładowej, albo wszystkiego razem, tak, że dziwić się można i tej czasowej wegetacji. My w Polsce jesteśmy jeszcze bardzo wyrozumiali: gdzieindziej żadne przedsiębiorstwo, nie spełniające ściśle potrzebnych wymagań, nie może egzystować.

Drugi przykład: zakłady gastronomiczne. Nie wielkie restauracje, lecz te jadłodajnie, „stołówki“, gdzie wskutek obecnego braku mieszkań i całodziennej nieraz pracy zawodowej kobiet, jada większość pracującej inteligencji. Ile tam byłoby do zrobienia! Przyrządzanie potraw podług obecnych przepisów dietetycznych, kuchnia jarska, rozsądne menu obiadu (niepodawanie np. mózdzku z buraczkami (!), jak to się praktykuje) i ceny, ceny, ceny! Są stołówki, które liczą przyzwoity obiad 2 zł., a porcję szpinaku z jajkiem *jednym* zł. 1,50, lub sałatkę 80 gr. latem! We wrześniu zaś 80 gr. sałatkę z jednego dużego pomidora! Osoby, któreby założyły *prawdziwie wzorową* jadłodajnię, czy w Warszawie, czy na prowincji, mogłyby liczyć na powodzenie.

Inna branża: reparacje. Krawcowe *dobrze*, pomimo ciężkich czasów, są zawsze zajęte; gorsze psują suknie, które potem z ciężkim lamentem i cięższym jeszcze kosztem przerabia się, lub zamyka bezużytecznie w szafie. A czy jest w każdym większym mieście kilkanaście, choćby kilka sklepów, czy przystępnych, na widoku, lokali, gdzie każdy odrazu, bez szukania, ogłoszeń i t. p., mógłby dać do zreparowania i odświeżenia sukienkę, bieliznę, wszystko, co mu potrzebne? Niema. Pod tym względem mężczyźni już są pomysłowi: wielu pomniejszych krawców, niemających dużej zręczności i „szyku“ do nowych garniturów, żyje z przeróbek i reparacji. Przykładów takich, właśnie z zakresu codziennych, najpilniejszych potrzeb życia, jest bez liku.

Tak, ale na to wszystko potrzeba kapitału.

Bezwzględnie. Musimy w to uwierzyć. Kapitał jest przede wszystkim potrzebny do tego, aby prowadzić interes, móc kalkulować *tanio*, nie wydzierając z każdego źdźbła nadmiernych zysków na łatanie dziur i niedoborów. Przed wojną można było jeszcze tak czasem robić, dziś nie. Ale kapitały są.

Jakto? — powie ktoś — nikt nie ma dziś pieniędzy.

Owszem, ludzie mają. Dlaczego mają? Prosty wniosek: nikt całości obiegu monetarnego w Polsce nigdzie nie wywiózł, ani nie utopił. Pieniądze są, jak były, tylko idą trudniej w obieg. Jak to już miałam sposobność pisać dawniej, ludzie albo się boją, albo

Z TEATRÓW

TEATR ATENEUM.

chęć za wielkich zysków. Spróbujmy namówić kogoś, aby dał kapitał na jakiś interes. Będzie zwykle taki dialog:

— Kiedy to nie pójdzie!

— Jeżeli zorganizujemy dobrze i przedewszystkiem *tanio*, to pójdzie.

— Tanio mi się nie opłaca, wolę pożyczyć na procent!

— A czy Sz. Pan (Pani) pomyślała, że jeśli wszyscy zaczną pożyczać na procent, kto w Polsce będzie za dwa lata płacił te procenty? Chyba, że nie pożyczają się, lecz wkładają w interes, ale wtedy nie można brać zbyt wygórowanych procentów.

Że są ludzie, i wielu, którzy mają coś niecoś gotówki, mały przykład: w Warszawie mieszkańcy za wyższe komorne jest obecnie dosyć i można je dostać za komorne miesięczne b. łatwo. I oto na prawo i na lewo słyzy się o faktach wyłożenia przez wynajmujących komornego za rok i dwa lata zgóry! Poco? Kiedy nie potrzeba — komorne jest wtedy tańsze! Prawda, ale kapitał na nie jest i to wcale nie wśród ludzi specjalnie bogatych!

Chodzi więc o to, aby tę gotówkę wydobyć, poruszyć. Kobiety są zwykle lękliwsze w sprawie kapitałów: boją się stracić. Lokują je albo w mało procentujących papierach, albo chowają. Otóż trzeba przezwyciężyć tę obawę, a pewność oprzeć na racjonalnych podstawach: łączyć choćby drobniejsze kapitałiki, do każdego interesu zaś dobierać współpracowników, wglądać i pracować osobiście, zadowalając się niewielkimi zyskami. Osoby zaś fachowe, posiadające energję i inicjatywę, powinny zacząć od *znalezienia* potrzebnych funduszy, nie rzucając się w przedsięwzięcie, nawet niewielkie, bez kapitału, gdyż zgóry skazują się na szarpaninę i wegetację. Ten kapitał, choćby niewielki, trzeba zawsze mieć i można go znaleźć, jeżeli praca — jakiegokolwiek przedsiębiorstwo, które chcemy założyć — ma dobre podstawy organizacyjne, fachowe i uczciwe pracownicze.

Trzeba ludzi o tem przekonywać, że Polska jest: 1) krajem samowystarczalnym, w którym dobra i tania produkcja znajduje zbyt i zostanie *vermehrt* *spozytkowana*; 2) krajem bogatym we wszelkie podstawy wytwórczości, do których potrzeba tylko fachowej, umiejętnej pracy, energii i uczciwości.

Popatrzmy na małą Szwajcaryję: co praca i energją zrobiła z kraju skał, wód i lodowców. Ma turystów? A ruch turystyczny w Polsce, tak zaniedbany, ożywny obecnie, bo *zagranica sama zainteresowała się Polską*, czy w tym zakresie mało jest do zrobienia? Małe i większe pensjonaty, sklepy, krawiectwo na lotniskach, miejscowe wyroby dla turystów?

Tak, „jest mnogo wiele“ *pracy*, trzeba się tylko do niej zabrać umiejętnie, trzeba nie bać się włożyć w nią trochę grosza i trzeba ten grosz wydobyć. Kobieta łatwiej zaufa kobiecie, z którą może w dodatku pracować wspólnie. Kobiety więc właśnie powinny łączyć wzajemnie swą pracę i swoje fundusze w niewielkich, lecz wzorowo zorganizowanych, obejmujących dziedziny różnych potrzeb, przedsiębiorstwach.

N. J.

„Gołębie serce“ — komedia w 3 aktach Johna Galsworthy'ego.
Reżyserja Stefana Jaracza, dekoracje E. Poredy.

„Gołębie serce“ — to jedna z tych rzadkich naogół sztuk, w których właściwie niema intrygi, ani t. zw. rozwoju charakterów. Cała akcja polega na stopniowym zdejmowaniu z duszy ludzkiej lusek, któremi obrosła pod wpływem środowiska, wychowania, układu stosunków materialnych, społecznych i towarzyskich. Po zdarciu owych lusek, często wytworzonych przez instynkt samozachowawczy, jako środek samoobrony, okazuje się, że istota człowieka naprawdę nie ulega zmianie, ona się tylko chwilowo maskuje, albo pozornie podporządkowuje nakazom zewnętrznym.

Malarz Wellwynn urodził się jałmużnikiem i umrze nim — więcej — umarłby, gdyby porzucił swoje „miłosierne“ rzemiosło; Ferrand jest urodzonym włóczęgą, kwiaciarka — uliczniką i t. d. Są to ludzie nieuleczalni, niepoprawni, jednostki o silnej indywidualności, która nie daje się włożyć w ramy standaryzowanego, „normalnego“ życia. Tacy ludzie nie znoszą zasady „stać dotąd“, są bez granic. Z takich ludzi, o ile mają zdolności twórcze i siłę woli, wyrastają święci lub genjusze, ale bez woli i bez talentu są doskonałym materiałem na włóczęgów, nicponiów, ptaki niebieskie. Jest to balast, który społeczeństwo z westchnieniem ulgi wyrzuca poza burtę, gdyż... nie umie i nie może znaleźć dlań właściwego miejsca w życiu zbiorowym.

W odmalowaniu tych „wyrzutków“ społeczeństwa Galsworthy posługuje się odmienną techniką, niż dramaturdzy rosyjscy. Tamci (np. Gorkij) prowadzą widza „człowieka cywilizowanego“ na dno nędzy, w głąb środowiska. Tutaj — odwrotnie. Do zacisznego gniazda malarza Wellwyna zlatują się noene ptaki, aby żerować na jego ewangelicznej dobroci. Cała finezyjność i melancholijna ironja autora wobec przedstawianych postaci polega na pokazaniu, do jakiego stopnia ta dobroć jest bezsilna. Przynosi ulgę, ale nie leczy.

Widzi to córka Wellwyna (raczej córka Albionu), uosobienie angielskiej praktyczności i trzeźwości, i stara się wpłynąć na ojca perswazją, interwencją przyjaciół, wreszcie heroiczną przeprowadzką do odległej dzielnicy. Wszystko napróżno: Wellwynn jest, jak dziecko, przy którym zostawiono otwarty słoć z konfiturami. Pokusa jest zbyt silna, Wellwynn ulegnie jej, jak dziecko. Tylko, że dziecko, które objadło się konfiturami, zazwyczaj nabiera do nich wstrętu. Wellwynn rozmakowuje się coraz bardziej w miłosierdziu, bo nędza ludzka — to bezczka bez dna, zawsze otwarta i za każdym razem inna jest jej gorycz.

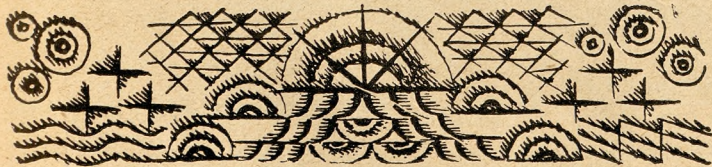
Tragizm „Gołębiego serca“ polega na jego bezsilności. Niczego nie można zmienić, nic się nie da odwrócić. Ale Wellwynn w to nie wierzy. Gdyby był mniej naiwny, może zostałby tytanem miłosierdzia. Jest tylko oskubywanym gołębim...

Jego frasośliwa, zatroskana, bezsilna dobroć znakomicie ujął Jaracz. Jest to jedna z tych postaci, które niewiadomo, czem więcej żyją: wizją autora, czy twórczą koncepcją wielkiego artysty? Zdaje się, że obydwaj podali sobie zgodnie ręce.

Zespół „Ateneum“ podciągnął się w zdumiewający sposób do tej wysokiej klasy gry. Kto wie, czy to nie jest jedyna scena w Warszawie, gdzie artyści naprawdę „przeżywają“, a widz przeżywa razem z nimi.

Na specjalne wyróżnienie zasługują: Perzanowska w roli kwiaciarki, Daniłowicz, jako Ferrand, i Chmielewski w roli dożkarza.

Interpretacja „Gołębiego serca“ przez teatr Ateneum — to nowy węzeł istotnego porozumienia między sceną a widownią.
S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DO NOWEJ PRACY.

Zrobiliśmy duży krok naprzód. Prywatną inicjatywą prac oświatowo - pozaszkolnych wśród kobiet zainteresowały się i czynniki oficjalne. Pełne zrozumienie dla tych prac, docenianie ich w całokształcie oświaty dorosłych potwierdza fakt, że oto od 5-go do 28 lipca (w pierwszym terminie wakacyjnym) odbędzie się pierwszy Państwowy Kurs Oświaty Pozaszkolnej wśród kobiet, organizowany na zlecenie Ministerstwa przez Kuratorium Lubelskie w Puławach. Kurs, przeznaczony wyłącznie dla nauczycielek, prowadzony będzie dla przygotowania i nastawienia do pracy wśród kobiet wiejskich. Stanowiąc będzie grupę równoległą do dwu grup innych (światlicowej i systematycznego kształcenia dorosłych) i łącznie z temi dwiema grupami będzie miał wykłady wspólne na tematy: badanie środowiska wiejskiego, oraz psychologia wieku młodzieńczego. Oprócz tego, tematy specjalne: psychologiczne i pedagogiczne podstawy prac społeczno-oświatowych wśród kobiet; nauczycielki, jako pracowniczki oświatowe wśród kobiet wiejskich; historia rozwoju ruchu i organizacji kobiecych; bardzo szeroko rozbudowany dział higieny i ratownictwa, dział wykładów na temat zagadnień wiejskiego gospodarstwa kobiecego, estetyki mieszkań, łącznie z kobiecym przemysłem ludowym, oraz ciekawe, dotychczas niespotykane na kursach oświatowych wykłady, na temat rodziny i roli kobiety w rodzinie.

Kurs nowy, a jakże potrzebny i ważny dla nauczycielek, pracujących na wsi!

Jest jeden w całej Polsce. Powinna się nań zapisać każda nauczycielka, która swą pracę na wsi traktuje poważnie i rozumnie.

Wszystkim, którzy brali udział w kursach oświatowych w Puławach, znany jest miły nastrój, jaki panuje na tych kursach. Oprócz wycieczek naukowych, przewidywane są jeszcze i wycieczki „dla przyjemności“ (statkiem po Wiśle i in.). Pomieszczenie wspólne w gimnazjum.

Utrzymanie dzienne wynosić będzie niespełna zł. 5.50. Podania należy kierować drogą służbową przez Inspektoraty lokalne do Inspektoratu Szkolnego w Puławach.

RÓŻE NAJPIĘKNIEJSZE I NAJŚWIEŻSZE.

Któż kobieta nie lubi kwiatów, a pośród nich róż?! Nowoczesna sztuka ogrodnicza wyhodowała ich niezliczone odmiany, jedne od drugich piękniejsze; ten sam kunszt ogrodniczy daje nam liczne nowe sposoby hodowli tych kwiatów. Dotychczas jednak, z różnych względów, nie było w Polsce wielkiej, zbiorowej wystawy wszystkich starych i nowych odmian róż. W tym roku dopiero Centralny Polski Związek ogrodników, z racji 25 lecia swego istnienia, urządza ten imponujący pokaz

Wystawa, organizowana pod protektoratem Pani Prezydentowej Mościckiej, odbędzie się w starej Pomarańczarni (na górze) w Łazienkach Królewskich, w czasie od 27 do 30 czerwca r. b. Mandat honorowego Prezesa Komitetu przyjął p. Minister Rolnictwa, Al. Janta-Polczyński, a na wiceprezesów zostali zaproszeni pp.: prof. dr. Piotr Hoser i prof. dr. Edmund Janowski.

Zatem na przeciąg czterech dni zapelnia olbrzymią, historyczną Pomarańczarnię niezliczone okazy najpiękniejszych róż ciętych i artystyczne wyroby z róż, wykonane w postaci wiązanek, koszy, bukietów, przez najwybitniejsze firmy kwiatarskie stolicy. W czasie trwania wystawy szereg wybitnych prelegentów wygłosi cykl pogadanek o zastosowaniu róż w zdobnictwie ogrodowym i o ich pielęgnowaniu.

PEWIANKI W SPALE.

Na tegoroczne święto przysposobienia wojskowego w Spale przybyły z całej Polski drużyny męskie i kobiece P. W. w ilości ponad 14.000 osób.

Kilkudniowe ćwiczenia zbiorowe wykazały duże przygotowanie sportowe młodzieży. W dn. 14 b. m. przybył do Spawy Prezydent Rzeczypospolitej, który dokonał przeglądu oddziałów P. W. i wręczył osobiście nagrody zwycięzcom zawodów sportowych.



Defilada Kobiecego Przysposobienia Wojskowego.



Może nie piękny, ale wygodny.

KAPELUSZ-NAMIOT.

Upały w Polsce, choć niedawno tak na nie wyrzekaliśmy, są formalną igraszką w porównaniu z temi, które panują w krajach podzwrotnikowych. To też tam ludzie chronią głowy od żaru. Podczas obecnego sezonu kąpielowego w Sidney najmodniejsze są kapelusze, które przedstawia nasza rycina.

25 LECIE WIELKOPOLANEK.

Jedną z największych organizacji kobiecych w Wielkopolsce, Związek Kobiet Pracujących, obchodziła 25. rocznicę swego istnienia. Założony w 1906 r. związek skupia i organizuje kobiety, pracujące zawodowo, dorosłe, a także młodzież żeńska, wychodząca ze szkół powszechnych. Liczy obecnie ośm tysięcy członkiń, zgrupowanych w 77 stowarzyszeniach w różnych miejscowościach. Związek prowadzi biuro pośrednictwa pracy, poradnię prawną i zawodową, poradnię dla matek i niemowląt,

oraz liczne kasy pogrzebowe. Wydaje też pismo, „Gazetę dla kobiet“, i posiada dom własny w Poznaniu.

Dla uczczenia rocznicy odbył się w ubiegłym tygodniu w Poznaniu zjazd delegatek, z udziałem wyższego duchowieństwa, przedstawicielek stowarzyszeń i licznych gości. Po obradach zjazdowych uczestnicy wzięli udział w uroczystej akademii, urządzonej w Sali Domu Rzemieślniczego. Jednocześnie otwarta została w Salach Domu Związkowego Wystawa pracy kobiet.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W każdej, nawet samotnej kobiecie najprzeźnajniejsze są uczucia macierzyńskie i altruistyczne i każda jest przeciwniczką wojny. Każda obywatelka poświęci siebie i swoich dla dobra kraju, każda jednak wzdyga się i cierpi na myśl nowych ofiar i każda przeciw nim protestuje. W obecnej dobie ogólnego naprężenia politycznego najdobitniej, najśmiało brzmią głosy kobiet, wołające o pokojowe załatwienie sporów, o nieprowadzenie sytuacji do ostateczności. Świeżo zaznaczyły się dwie manifestacje pokojowe kobiet, jedna francuska, druga, o dziwo! niemiecka.

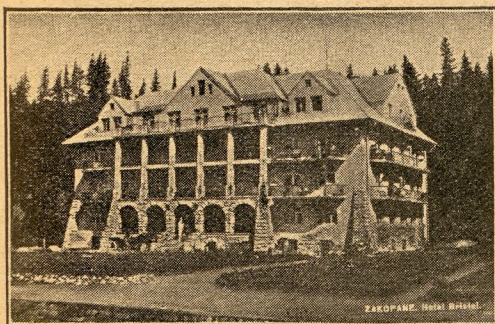
Z chwilą przybycia do Paryża Brianda, powracającego z sesji genewskiej, w momencie, gdy Briand był najgoręcej atakowany przez różne stronnictwa polityczne za swoje pokojowe stanowisko, czternaście wielkich związków kobiecych, w tym Stowarzyszenie Wdów Wielkiej Wojny, złożyło ministrowi adres, wyrażający uznanie i wdzięczność „za niez mordowaną pracę dla idei powszechnego pokoju“ i prośbę o dalszą działalność w tym duchu, dla szczęścia ludzkości i Francji, prośbę, wyrażoną „w imieniu naszych dzieci i ognisk rodzinnych“.

Prawie jednocześnie Pokojowy Związek Kobiet Niemieckich, niemiecki oddział Międzynarodowej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności wydał odezwę do kobiet niemieckich, a specjalnie do Ligi Matek niemieckich. Odezwa nawołuje wszystkie kobiety, „tak ciężko doświadczone w niedawnej przeszłości“, do wstępowania do Pokojowego Związku Kobiet, do łączenia się z kobietami wszystkich krajów, dla przeciwstawienia się każdemu zamachowi na prawo wolności narodów i pokój.

Między członkiniami związku znajdują się kobiety wszystkich środowisk, od księżniczki Ludwiki bawarskiej, do członkiń związków robotniczych. Są też podpisane znane artystki, literatki, żona Gerhardta Hauptmanna, Tomasza Manna i wiele nazwisk kobiet, odznaczonych na polu kultury i pracy społecznej.

I oto co się stało. Odezwa francuzek nie wywołała protestu, pomimo, że Francja liczy bardzo wielu przeciwników polityki Brianda. Przeciwno głosowi kobiet, nawołującemu do pokojowego załatwiania zatargów, nie wystąpił jednak żaden francuz. A w Niemczech? Tam rozpętała się formalna burza. Nawołuje się policję do zamknięcia Ligi „Kobiet bez zajęcia“. Jest to zresztą najłagodniejszy epitet przeciwko pacyfistkom. W innym miejscu nazywa się członkinie pokojowej organizacji niemieckiej *bolszewiczkami*(?!).

A teraz, kto rozpoczął w Niemczech taką antipokojową kampanję? Nietrudno zgadnąć: Hitlerowcy i cała ich prasa!



ZAKOPANE Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel - pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

NASZA MÓWNIKA

Na drodze przemian psychiki kobiecej. (W odpowiedzi p. N. H. z Warszawy).

W jednym z numerów „Bluszczu“ p. N. H. z Warszawy podnosi aktualne zagadnienie przemian psychiki kobiecej w dobie obecnej i ustosunkowania się do świata męskiego, wzywając kobiety do zabierania głosu w tej sprawie.

Natura dąży zawsze do równowagi. A więc, im więcej chłopczyce, tem mniej stuprocentowych mężczyzn. Zmężczyźnienie kobiety znajduje swój równoważnik w zniewieściałości mężczyzny i odwrotnie.

To jedno. Drugie, to dostosowanie się do wymagań życia. Konieczność pracy zarobkowej, konieczność zastąpienia mężczyzn na placówkach, opuszczonych podczas wojny. W związku z tem przemiana kobiety i wewnętrzna i zewnętrzna. Już Jan Finot w artykule swym pod tytułem „Zmierzch Kobiecości“ twierdził, że niema „wiecznej kobiecości“, gdyż to, jak wszystko na świecie, podlega ewolucji i przystosowaniu do nowopowstałych warunków życiowych. Upewniał on również, że ta nowa kobiecość będzie bezsprzecznie inna, ale nie mniej piękna. Jutrzejsza kobieta jest zjawiskiem dodatniem i pożądanem. Prawo uczyni ją równą mężczyźnie, lecz nie taką samą. Kobieta wolna, szczerza, odważna, prawa, myśląca i czynna musi zastąpić kobietę-demon, kobietę-służebnicę, pogrążoną w słabości i fałszu.

Ś. p. Ludwika Jahołkowska-Koszutska w jednym ze swych bojowych artykułów o prawa kobiet i o nową kobietę jutra, pisała: „Mamy przed sobą wielkie i ważne zadanie oswobodzenia jaźni kobiecej od wiekowej sugestji, wiekowej hypnozy. Musimy w niej energicznie rozwijać samowiedzę swę osobowości. Musimy jej dopomóc w poszukiwaniu swego ja, które zatraciła w pochodzie wieków. Odnaleźć w swęj duszy cechy zasadnicze, odrzucić balast sztucznie narzucony, wydobyć z kobiecości wszystko, co zasługuje na nieśmiertelność, resztę skazać na znik, na zmierzch całkowity“.

Na nieśmiertelność zasługuje dar twórczej miłości, dar współczucia psychologicznego, miłość macierzyńska, oswobodzona z małostkowych, rodzinnych egoizmów, miłowanie życia, jako takiego, wbrew własnym cierpieniom i własnym nadziejom.

Te cechy, wsparte mocniejszą wolą, przenikliwszym rozumem, potężniejszą osobowością, składają się zaledwie na szkic kobiety jutra, wolnej od wszystkich cech „babskości“, od drobnotostkowych zawiści, złości, od drobnej i płytkiej konkurencji płci, od „dulszczyzny“, od wad niewolnicy, lecz i od cnót niewolnicy, pielęgnowanych przez cudzy egoizm i cudzy despotyzm; kobiety pełnej człowieczeństwa i jasnej mądrości, zdolnej do zrozumienia najgłębszych zagadnień i najszczytniejszych zadań bytu, do świadomego i celowego torowania dróg, prowadzących ludzkość ku ideałom.

Co do stosunku kobiety do mężczyzny, jesteśmy teraz w okresie wyjątkowo szybko następujących po sobie przemian. Ewolucja staje się niemal rewolucją.

Kobieta przystosowuje się w szybkim tempie do wymagań nowoczesnego, demokratyzującego się życia, które żąda od niej nowych uzdolnień i nowych wartości. Ujawniając się w wolniejszym znaczenie tempie ewolucja stosunku mężczyzny do kobiety i jego pojęć o „das Ewig weibliche“, zmusza również kobietę do brania tej ewolucji pod uwagę.

Dzisiejszy mężczyzna, w zależności od nowo-wytworzonych warunków życia, chętniej widzi w kobiecie towarzyszkę-współniczkę w zdobywaniu materialnych podstaw bytu, aniżeli lalkę-zabawkę.

Pojęcie „wiecznej kobiecości“, pokutujące jeszcze w niektórych duszach „płci silnej“, a będące synonimem słabości, niezdarności, niewolniczej uległości, potrzeby stałej męskiej

opieki, łącznie z haremowem lenistwem, perfidną zalotnością i umiejętnością grania tylko na zmysłach mężczyzny, uległo całkowitemu przewaloryzowaniu.

Pojęcie „wiecznej kobiecości“ będzie jednak istniało zawsze, dopóki istnieć będzie kobieta i mężczyzna; tylko w związku z ogólną ewolucją życia podlegać ono musi również pewnym zmianom.

„Wieczna kobiecość“, jako subtelny wdzięk i emanacja wartości duchowych, jako podświadoma, wpływająca z natury kobiecej, zalotność i chęć podobania się, zrodzona z poczucia piękna i estetyki, to winno pozostać zawsze.

Nowa kobieta, zmieniając się duchowo i umysłowo, sercem i naturą musi pozostać zawsze kobietą. To prawo życia. I stawianie sprawy w ten sposób, „czy możemy i powinniśmy zachować to, co stanowi „das Ewig weibliche“ w oczach mężczyzn, czy wolno nam bezkarnie urabiać się tylko na obraz i podobieństwo nasze, bez uwzględnienia upodobań świata męskiego?“, uważam za nieracjonalne. Na to odpowie samo życie, podświadome kształtowanie się i urabianie w zależności od niego i od tych ewolucyj pojęć o kobiecie, jakim podlega mężczyzna. Prawo natury i wymagania życia są silniejsze od naszej woli i one wskażą drogi, po których pójdzie twórcza przemiana psychiki kobiecej.

Jadwiga Korulska — Grodno.

Trochę później (w odpowiedzi p. p. Płońskiej i Janie).

Niezmiernej doniosłości sprawę, którą warto głębiej omówić i przetrwać w obszernej dyskusji, poruszyła p. Płońska. Myśl szczytna, wzniosła, oparta na zasadach etyki chrześcijańskiej i miłości bliźniego, ale nie zdaje mi się aby ta myśl przyjęła się na gruncie międzynarodowym i zapuściła korzonek, choćby bardzo anemiczny.

Może zbyt pesymistycznie zapatruję się na tę sprawę. Chciałabym się mylić, bo jestem wielką przeciwniczką Marsa i uważam go za jedną z najgorszych plag, trapiących ludzkość. Ale jestem zdania, że szczególnie nam, Polakom, trzeba być ostrożnymi w wypowiedzianiu i szerzeniu takich hasel, a szczególnie ostrożnie podawać je naszym dzieciom.

P. Płońska bardzo wstrzemięźliwie przedstawiła tę rzecz, nie zamykając jednakże drogi do pojednania. I słusznie. P. Jana poszła dalej: radzi, aby nie wpaść w dzieci nienawiści do innych narodów, lecz zaszczerpieć im od maleńkiego ideału najszerszego braterstwa. Zawsześnie, stanowczo zawsześnie! Gdy całe Niemcy burzą się ideałem odwetu, gdy nie wiadomo, co wyklucze się w przyszłości ze stosunków rosyjskich, my mamy dzieci nasze wychowywać pod hasłem ogólnego braterstwa? Chyba, jeżeli chcemy, żeby powtórzyła się historia z rozbiorami!

Trzeba teraz dzieciom mówić prawdę. A prawda, wiemy, jaka jest. Ta prawda bije w oczy ze szpalt dzienników, z jaskrawych przejawów życiowych w różnych dziedzinach stosunków polsko-niemieckich... A wina za tę prawdę, nie po naszej stronie leży! My jesteśmy aż za bardzo pochopni do wyciągania braterskich dłoni i tam, gdzie należy, i tam, gdzie nie należy. Pędu do krwawych wojen niema w naszej naturze, niema w niej także przezorności i przewidywania. To też bądźmy spokojne, że, wychowując nasze dzieci w prawdzie i charakteryzując im należycie naszych sąsiadów, nie rozpalamy w nich zarzewia nienawiści, lecz mądrze obmyślamy ideę samoobrony.

Jeżeli takich głosów, jak głos p. Kern, rozlegną się setki, albo i tysiące, gdy kobiety niemieckie zabiorą zdecydowanie przychylny i wyraźne stanowisko, co do idei pokoju, i będą miały wpływ na mężów, ojców, braci, wtedy dopiero z czystym sumieniem powiedzmy dzieciom: za miedzą graniczną mieszka nasz sąsiad-brat.

M. K. z Podlasia

„O, GDYBY ONE UMIAŁY GOTOWAĆ“*)

Nie umieją. Nigdy nie umiały. I nigdy się nie nauczą.

Muszę się zastrzec. To nie jest paszkwil na Angielki... Piszę to ze ściśniętym sercem (ze ściśniętym żołądkiem pisałabym... po angielskim obiedzie!...). Przepadam przecież za Angielkami. Umieją być czarujące! Umieją rządzić miastami (no, i najmądrzejszymi mężczyznami, ale to zdobył przedpotopowa). Są szalenie zdolne, rzutne, energiczne — kiedy chcą (niezawsze chcą). Są najpierwszemi na świecie pielęgniarkami i szarytkami, i o ich słodyczy w objęciu wie tylko Król Jerzy V, od czasu swojej ciężkiej choroby, lecz ostatni nędzarze Londynu. Nie, — całej Wielkiej Brytanji! Siostry miłosierdzia Czerwonego Krzyża brytyjskiego... Mimowoli staje przed oczami szlachetna, świetlana postać rozstrzelanej przez Niemców nurse Edith Carell...

Lecz nie mieszajmy rzeczy wzniosłych z tematem tak bardzo *terre-à-terre*, jak ten, który sobie dziś obrałam.

Kim potrafią być Angielki — o tem dziś wiedzą wszyscy. Któż z nas nie słyszał o wyczynach Amy Johnson, o pani Victor Bruce, o Winifred Spooner, o sześćdziesięciopięcioletniej księżnie Bedford, stojącej jedną nogą w grobie, a drugą — wsiadającej z dezynwolturą podłotką do aeroplanu, *en route* do Indji, czy Afryki... Zmuszona wylądować, gdzie się da, znajduje się naraz o kilkanaście kroków od stada lwów, a kiedy opowiada o tem przez radio, głos jej drży nie ze starości, a z radości, że jej się taka gratka przytrafiła!

Więc dziś nie będę mówiła o tych śmiałych, dzielnych championkach na wszystkich polach, jest ich bowiem legjon, a chcę jedynie podkreślić raz jeszcze, że pod tym względem — a i wieloma innymi — zasługują na to, ażeby nisko schylić czoła przed nimi. Nie zapominałmy również, że pierwszą kobietą, która w ubiegłym stuleciu rozpoczęła wielką akcję o równouprawnienie kobiet, była Angielka — Sylvia Pankhurst, znana sufrażystka.

Więc pobieżnie chociażby oddawszy kobiecie angielskiej to, co się jej należy, niech mi wolno będzie powtórzyć, że o *kuchni pojęcia nie ma!*

I gdyby chcieć na zasadzie starego *dicton*: „Dis-moi, ce que tu manges, je te dirai, qui tu es“ — stwarzać sobie opinię o Anglikach, to należałoby dojść do wniosku, że ten wielki naród stoi na bardzo niskim stopniu kultury, że prawie nie zrobił kroku naprzód od zamierzchłych czasów, kiedy żywił się korzonkami, rybą złowioną w sieci, lub, kiedy mu się udało upolować dziką, czy rogacza, rozpałał w lesie wielkie ognisko i na kamieniu piekł wielkie ćwierci mięsiwa,

*) Tytuł wielkiego artykułu na ten temat, napisanego przez wiceministra zdrowia dla „Daily Mail“.

które potem tygodniami dojadał (na zimno, tak, jak teraz jego potomkowie czynią w niedzielę i poniedziałek... Cała różnica polega na tem, że wyspiarz z owej epoki jadał to bez patentowanych, zabójczych sosów i dlatego był o wiele zdrowszy).

Na to ten i ów (lub ta i owa...) może mi odpowiedzieć, że wszystkie narody kiedyś żywiły się w ten sam prymitywny sposób, że tylko Rzymianie przejawili wcześniej kult dla sztuki kulinarnej, byli wyjątkowymi gastronomami i smakoszami w owych dalekich czasach. Zgoda. Ale stopniowo następowała ewolucja wszędzie. Nie mówmy już o Francji, ojczyźnie Vatel'a i Brillat-Savarin'a. Weźmy Polskę. Czy to nie u nas — i to nietylko na dworze królewskim — kucharze tworzyli arcydzieła swojego kunsztu i podawali na stół rybę, w jednej części gotowaną, w drugiej — faszerowaną, a w trzeciej — pieczoną?...

Mam nadzieję, że nie wywoła konfliktu politycznego to, co powiem, i że „nie oprze się to o Ligę Narodów“... ale równie nikczemnego jedzenia, jak w Anglii, niema w całej Europie! (chyba — w Holandji. Kto tam jadł, a ze mną się nie zgadza, niech... niech do końca życia delektuje się holenderską kuchnią). A jednak posiadają niezrównane produkty: mięso, jakiego niema na całym świecie, drób angielski — importowany nigdy smaku świeżego mieć nie może, nawet, jeżeli pularda przyszła tego samego dnia z Mans, a młoda kaczka z Rouen. Szczególna rzecz, jak kilka godzin podróży morskiej ujemnie wpływa na niektóre artykuły żywnościowe! To samo się dzieje z herbatą, która tutaj smakuje tak inaczej od herbaty, *ładem* przywożonej z Chin i Indji, a pijanej na kontynencie.

Powracam do niesłychanych bogactw rynku spożywczego, koncentrującego się w Londynie, najwybredniejszego, najgrymaśniejszego na kuli ziemskiej. O wysokości wymaganego tutaj standardu na produkty i artykuły żywnościowe — nie ma się po prostu wyobrażenia. Wszystko to, co nie odpowiada stawianym warunkom, odrzucane jest bezapelacyjnie i dostaje się za bezcen ulicznemu sprzedawcom. Korzysta na tem uboższa ludność, mająca nieraz możliwość kupowania takich np. owoców, jak ananasy, winogrona i brzoskwinie, za minimalną cenę.

Rzućmy więc okiem na znakomity i różnorodny materiał, jakim rozporządza Angielka. Poza wołowinę, cielęciną, wieprzowinę (Anglja słynie, jak wiadomo, również z trzody chlewnej, że wymienię tylko rasę yorkshirską), baraninę i mięsem młodych jagniąt, *nadzwyczajnym* drobiem (hodowanym tu z większą pieczołowitością i zamięłowaniem, niż wiele dzieci...), dziczyzną w sezonie, a więc bażantami, cietrzewiami, jarząbkami i przepiórkami, a także zającami i sarnami — Anglja znana jest ze swoich ryb *w trzydziestu paru gatunkach*, przeważnie morskich, ale i wszystkich tych rzecznych, jakie my znamy. Szkocja dostarcza tu swoje łososie, pstrągi, węgorze i szczupaki, chociaż na te ostatnie jest mały popyt, a więc i podaż. A langusty, homary, kraby, krewetki!...

Otóż, co się tyczy ryb, to przedewszystkiem powiedział ktoś (Francuz, w każdym razie...), że: „*Qui-conque aime le poisson, a l'esprit fin et l'âme délicate*“... Następnie, wielki epikurejczyk, jakim był nieśmiertelny (wśród łakomczuchów) Brillat-Savarin, powiedział o rybach w swojej „Fizjologii smaku“, iż są one dla filozofa (!) „nieskończonym źródłem medytacji i niespodzianek“...

Że wielu wyspiarzy i wyspiarek posiada ów „esprit fin“ i subtelność duszy, nie podlega żadnej wątpliwości; ale że ryby, jako takie, nie były nigdy przedmiotem medytacji Angielek i nie dawały im pochopu do robienia jakichkolwiek niespodzianek smakowego charakteru, — to jest bezsporne.

Co robi przeciętna Angielka, pani domu — o ile sama gotuje (pożał się, Boże!...), lub też jej kucharka z temi rybami? Niezmiennie, bez względu na to, czy to jest „*Dorez-sole*“, (arystokratka wśród innych swojego gatunku), czy „halibut“ (biały olbrzym o smaku sandacza), czy „turbot“, czy łosoś — wrzuca go do wrzącej wody, bez cienia wloszczyzny, *ani szczypty soli*; da mu się gotować albo za krótko, albo za długo, wyłoży to na półmisek, który ślicznie ubierze specjalną, puszystą pietruszką, obłoży ziemniakami, również ugotowanymi bez soli, no, i kontenta!

Drugi sposób przygotowania ryby, mający za sobą odwieczną tradycję w tym kraju, jest smażenie. To byłoby jeszcze ucieczką od pierwszego systemu, robiącego z najlepszej ryby coś w rodzaju „*papier maché*“, gdyby nie to, że przeważnie smażą tu na tłuszczu wieprzowym lub na margarynie. I sam ten specyficzny zapach już odbiera apetyt tym, którzy od dzieciństwa do niego nie przywykli.

A teraz parę słów o pieczyście: w każdym niemal domu w sobotę kupuje się ćwiartkę cielęciny, czy baraniny. Piecze się to z nabożeństwem (i z kartoflami), bo to jest ta „*grande pièce*“, na którą sobie zwykle raz na tydzień tylko dana klasa ludzi pozwolić może. W niedzielę obiad wszędzie jest podawany między 1 — 2, a nie między 7 — 8, ze względu na służbę. Składa się więc (mówię o domu średnio-zamożnym, w którym jest służąca do wszystkiego) z zupy, którejby u nas pies... przepraszam! nikt do ust nie wziął, owego pieczystego *bez soli*, z ziemniakami i jarzyną, ugotowaną także bez soli i niczem nie polaną, prócz wody, w której się gotowała... Poco solić, kiedy sól jest na stole?... Poco robić jakieś sosy, kiedy wszelkiego rodzaju ostre, gotowe, palące języki i żołądek „Kabule“ stoją też na stole? Sałata? Ledwo z wody wyciśnięta; ogórki niezmacerowane, pomidory, buraki, selery... Zaprawiać?! Na stole stoi wszakże w butelce sos majonezowy. Chlapnąć trochę, i już! A na słodko? Kompot z puszek, do niego kremowa śmietanka, no i nieodzowny „pudding“, jeden z *tysiąca drudziestu*, ale — zawsze ten sam, czy będzie się szumnie nazywał „*Sultana-pudding*“, „*Cabinet-pudding*“, czy zwyczajnie, uczciwie „*Bread-pudding*“...

Będzie to, jak zwykle, gąbkowata, mokra masa

czerstwej bułki, umaczonej w mleku, rzadko z domieszką jajek, pełna rodzynek małych, większych, lub bardzo dużych — stale niedopieczona.

Albo, zamiast puddingu, zjawi się t. zw.: „*Fruit-tort*“, coś w rodzaju kruchego ciasta, na którym leży warstwa czy to jabłek, czy agrestu, czy w sezonie — truskawek. Mogłoby to być dobre, gdyby nie było zasadniczo — nie do jedzenia... Kruche ciasto na margarynie, nawpół surowe, z zakalcelem, mokre od owoców...

Pieczyste wieczorem podaje się na zimno z temi sałatami. Nazajutrz, w poniedziałek — ditto. I jest to tak ogólnie przyjęte, że w poniedziałek sklepy rzeźnicze zamykane są o pierwszej w południe, bo wiadome jest, że na wieczór po raz trzeci ukaże się niedzielne pieczyste, w d. c. na zimno...

O tem, żeby zamiast dławić się temi pozbawionymi wszelkiego smaku resztkami, zrobić, stosownie do gatunku mięsa, jakąś potrawkę, risotto, i t. d. — do głowy tu nikomu nie przychodzi. Przeciwnie: panie domu rade są, że mogą nie myśleć o „menu“ przez dwa dni...

W dzień powszedni, jeżeli chodzi o kobiety bezdzietną, pracującą po za domem, mającą jedynie posługaczkę, która w czasie jej nieobecności sprząta po łóbkach, zasiada w najlepszym fotelu, ażeby przejrzeć ilustracje w rannem piśmie i „odpocząć“, popijając herbatę, po upraniu *swoich* paru sztuczek bielizny, które zabiera ze sobą w „tradycyjnym“ worku z ceraty, lub płótna — owa moja znajoma Angielka redukuje kwestję gotowania do... zera.

Spotkałam ją niedawno na Oxford Str. Było koło wpół do szóstej, czyli dawno już opuściła Ministerstwo. Zaczepiłam ją, bo jest i sympatyczna, i inteligentna, i nieczęsto ją spotykam. Zgromiłam ją żartami, że oto stoi przed wystawą kosztownych tualet i zapomina, że jej mąż za godzinę będzie w domu, głodny, jak wilk.

— Niech się Pani nie martwi, Obiad już obstałowałam przez telefon. Punkt o wpół do siódmej dostarczą mi go.

— Hm! Tak dawno jestem w Londynie, a nie wiedziałam, że można sobie obstałować cały obiad na dwie osoby...

— Ha-ha!... Można!... U każdego kupca na rogu. A więc: zupa pomidorowa z puszeki, łosoś kanadyjski z puszeki, do niego majonezowy sos „Chef“. Zielony groszek z puszeki. Kompot z ananasów z puszeki. Do niego śmietanka zgęszczona z puszeki. Paczka wafli. Proszek do kawy. That's alle!

Komentarze, prawda, niepotrzebne... Ile kosztuje moją sympatyczną przyjaciółkę ten obiad, do którego potrzebny jest... tylko dobry przyrząd do otwierania puszek i trochę wrzącej wody do wstawienia i zagrzania zupy i groszku, nie mówmy o tem. Nawet przy nadzwyczajnej taniości tutejszych konserw — za pieniądze, wydane na nie, możnaby mieć dwa doskonałe, pożywne obiady ze świeżych produktów, nie

wyjalowionych z witamin. Ale nie, nie i nie! To zabiera czas, no i trzeba przecież umieć gotować. Nawet — ziemniaki! Zato stół będzie tam nakryty bez zarzutu, kwiaty artystycznie ułożone wniosą intymną nutkę do tego bezbarwnego w smaku obiadu z puszek...

Pod tym względem, i pod względem dekoracyjno - cukierniczym, Anglicy są niezwycczeni. Ich „kompozycje“ w dziedzinie „wedding - cakes“¹⁾ i „birthday-cakes“²⁾ — są to małe arcydzieła pod kątem widzenia...

architektonicznym. W zrozumieniu wrażeń smakowych, są to rzeczy ciężkie, przeladowane masą migdałową, mdłe, pokryte grubą warstwą lukru bez żadnego smaku. Np. — „wedding - cake“, jaka znana firma „Lyons et Co“ wykonała w swoim czasie dla Princess Mary, jedynej córki króla i królowej W. Brytanji.

Ważyla ta „konstrukcja“ zgórą dwieście ang. funtów, czyli koło dwustu pięćdziesięciu funtów naszych...

Nie wiem, co by powiedział Brillat-Savarin na widok tej śnieżnej symfonji w cukrze, ale jestem przekonana, że gdyby spróbował jednego z trzech tortów podstawowych — umarłby po raz drugi...

Teodora Drzewiecka.

1) Torty weselne.

2) Torty na urodziny.

PIŹMOWCE

W odpowiednich warunkach bardzo rentownym przedsiębiorstwem może być hodowla piżmowców. Są to zwierzątka, należące do rodziny szczurów, niesłychanie płodne. Zbyt na skórki z każdym rokiem się powiększa, bo w ostatnich latach królowa-moda jest łaskawa dla tych stworzonek i faworyzuje futra piżmowe — zarówno brunatne z grzbietów, jak i niebieskawo-popielate, t. zw. brzuszki piżmowcowe.


Dziś można otrzymać za skórkę 8 — 10 zł., ale gdyby ceny te nawet bardzo spadły, i tak hodowlaby się opłacała.

Kosztowna jest tylko sama instalacja fermy, bo piżmowce muszą być hodowane w mocnych klatkach o żelaznym rusztowaniu, oraz niezbędną rzeczą jest woda bieżąca, doprowadzana do każdej klatki.

Jeśli nie rozporządzamy wodą bieżącą, to bardzo trudno utrzymać czystość, bo piżmowce zanieczyszczają wodę swymi odchodami.

Najlepsze rezultaty daje hodowla parami. Bywają stosowane również inne systemy hodowli, a mianowicie t. zw. hodowla na pół swobodzie, to znaczy,


DOBRODZIEJSTWEM DLA WŁOSÓW



*jest regularne
mycie głowy*

PLYNEM LUB
SHAMPOONEM

PIXAVON



że do terenu ogrodzonego wpuszczamy pewną ilość piżmowców (na każde 6 samic dajemy jednego samca); oraz hodowla kolonjami, to znaczy, że w jednej klatce hodujemy po kilka sztuk.

Pierwszy system daje pod każdym względem lepsze rezultaty, dzięki temu, że mamy ułatwioną kontrolę.

Klatki dla piżmowców mogą być rozmaitych rozmiarów i nie mogą być budowane z drzewa, bo takie szczur przegryzłby z łatwością.

Najlepszym materiałem na klatki jest blacha cynkowa, lub płyty fibro-cementowe; dno klatki robi się z siatki drucianej, ocynkowanej — pod spód sypie się żwir. Wierzch robimy z drzewa (szczur po gładkiej blaszanej ścianie dostać się na górę nie może) — robimy go na zawiasach, aby móc kontrolować, co się w gnieździe dzieje.

Budując klatkę, trzeba pamiętać, iż szczur — to stworzenie, które chętnie przebywa w ciemnościach, domek więc jego nie może być zbyt widny.

Co do wymiarów, to według pana M. Trybulskiego, najlepsze są następujące: 1.30 ctm. długości, 80 ctm. szerokości i 35 ctm. wysokości. Klatka o tych wymiarach może doskonale pomieścić 1 parę wraz z potomstwem.

Klatki zaś zbiorowe, w których mieszczą się rodziny, składające się z 1 samca i 5 — 6 samic, dochodzą do 6 m. długości, 1.20 m. szerokości i 60 ctm. wysokości. Pozatem w każdej klatce musi się znajdować basen z wodą, wysoki na 25 ctm., szeroki na 30 ctm., długi na 60 ctm. Basen ten jest nieodzowny, gdyż natura tak stworzyła piżmowce, iż mocz oddają tylko w wodzie.

Gniazda urządza się nazewnątrz klatki i łączy się je z klatką zapomocą drewnianego tunelu, obitego wewnątrz blachą cynkową. Tunel taki musi mieć najmniej 15 ctm. szerokości na 15 ctm. wysokości. Gniazdo budujemy z daszkiem pochylonym; tylna ścianka ma 30 ctm., a przednia 35, szerokość 50 ctm. Gniazdo takie musi być ciepłe, w tym celu dobrze jest dać mu podwójne ściany, wypełnione np. torfem, lub igliwem.

W czasie silnych mrozów wszystkie klatki trzeba zabezpieczać od zimna. Gdy budka gniazdowa połączona jest z całą klatką tunelem — dobrze jest zrobić zasuwę w rodzaju szybra, aby mieć możliwość oddzielenia jednej od drugiej (np. w momencie robienia porządków).

Niektórzy hodowcy zalecają budować budki gniazdowe nie z blachy, a z drzewa, które od wewnętrznej strony obijamy cienką siatką — budki takie są znacznie cieplejsze. Drzewo zawsze powinno być gwoźli trwałości i dezynfekcji nasycone karbolineum. W gniazdach powinien panować półmrok i musi być urządzona dobra wentylacja.

Załączam rysunek, przedstawiający taką budkę gniazdową. Zaznaczam, iż budowanie domków dla piżmowców systemem domowo-gospodarskim jest niesłychanie trudne i nie zawsze wytrzymuje kalkulację; klatka, zrobiona systemem fabrycznym, będzie tańsza i często lepsza.

Fabryk takich istnieje w kraju kilka, wyrabiają one nie tylko te klatki, ale podejmują się urządzenie całych ferm piżmowców. Między innymi załatwia te rzeczy „Związek hodowców zwierzątek futerkowych“ (Warszawa, Kopernika Nr. 30).

Ten sam Związek dostarcza również materiału zarodowego.

Jako ściółki, używa się grubego błotnego siana, które się poprostu wrzuca do klatki, a zwierzątko sobie same gniazdo ściela.

Żywnienie piżmowców mało się różni od żywienia królików, i jedne i drugie — to stworzonka roślino-żerne. Dajemy im wszelkie trawy, okopowe (z tych najchętniej jedzą marchew). Owoce, zwłaszcza jabłka, stanowią wyśmienitą, dietetycznie działającą karmę. Zimą dajemy siano, koniczynę suszoną, buraki, kartofle, marchew i t. p.

Pasze intensywne, t. j. ziarna zbóż, zwłaszcza owsa i jęczmienia, są bardzo wskazane w okresie karmienia młodych.

Obfite pożywienie wpływa na jakość futerka, które staje się gęściejsze i bardziej lśniące. Młode zaraz po okresie karmienia przyjmują to samo pożywienie, co i stare. Świeżej wody nie powinno nigdy brakować.

Godziny zadawania karmy trzeba stosować do natury szczura piżmowego. Zwykle koło południa opuszcza on swoje legowisko, ale na krótko. Na ten czas dobrze jest dać garść ziarna. Właściwe żerowanie odbywa dopiero w nocy, to też z wieczora trzeba przygotować główną dawkę karmy w takiej ilości, aby zwierzątku starczyło na całą noc.

Co do ilości, trudno jest określić ściśle normy; trzeba się tu kierować obserwacją życia piżmowców i ich wyglądem.

Zaznaczyć jeszcze wypada, iż wyśmienitą karmą dla piżmowców są wszelkie rośliny wodne. To też

najlepsze warunki dla takiej hodowli będą w miejscowościach, gdzie istnieje dużo mokrych łąk, względnie stawów zarośniętych.

Mokre łąki dają bardzo lichy gatunek siana, niechętnie przez inwentarz jedzony, a właśnie to siano stanowi wyśmienitą karmę dla piżmowców, które ten bezwartościowy produkt zamieniają na cenne futerka.

Fermę piżmowcową należy zakładać wiosną lub jesienią — nigdy zaś latem. Rozmnażają się one przez cały rok, za wyjątkiem gorących miesięcy lata. Ciąża trwa trzy tygodnie, młode przychodzą na świat całkiem niedołążne, ale rosną i rozwijają się bardzo szybko; po 6 tygodniach wychodzą z gniazd i przyjmują już to samo pożywienie, co stare. Można je więc przemieścić do innej klatki. Średnio co 10 tygodni można się spodziewać nowego miotu. Śmiało możemy obliczać 3 — 4 miotów rocznie. Jeśli zważymy, że każdorazowo rodzi się po 5 — 10 sztuk — to, żeby już liczyć najskromniej, jedna para daje przeciętnie około 20-tu sztuk rocznie. Czyli, przynosi około 150 — 200 zł. przy minimalnym wydatku na karmę.

Matki w okresie ciąży i karmienia są bardzo złe — tak dalece, że często rzucają się na ludzi. Należy więc być bardzo ostrożnym, bo ugryzienia są bolesne i goją się bardzo trudno.

Do chwytania piżmowców używa się specjalnych rękawiczek z łuski żelaznej. Przy pewnej wprawie można chwycić piżmowce za ogon, co uniemożliwia ukąszenie.

Najpiękniejsze futerka mają sztuki roczne i dwuletnie i takie tylko trzeba przeznaczać do zabicia.

Samo zabijanie wymaga również wprawy. Sztuki, przeznaczone do zabicia, chwytają się szczypcami i uśmierca zapomocą silnego uderzenia w nos.

Skórkę ściągają natychmiast po zabiciu. Ściąganie należy uskutecznić bardzo ostrożnie, gdyż uszkodzona skórka osiąga znacznie mniejszą cenę.

Po ściągnięciu natychmiast należy skórę oczyścić z tłuszczu i z mięsa, oraz rozpiąć na specjalnym galwanizowanym pręcie.

Żadnej hodowli nie można się nauczyć z teorii, do tej umiejętności trzeba dojść praktyką. Przed założeniem takiej fermy dobrze jest odbyć praktykę na fermie hodowlanej, lub chociażby przejść kurs hodowli tych zwierzątek. Kursa takie rok rocznie organizuje wyżej już wymieniony związek hodowców zwierzątek futerkowych w Warszawie.

Na praktykę przyjmują, między innymi, Wielkopolska doświadczalna Stacja Hodowli zwierząt futerkowych w Bydgoszczy (Rynek Zbożowy 9), oraz Ferma Serwecz w Kościeniewiczach w Województwie wileńskim.

Cena parki zarodowych piżmowców pierwszego gatunku wynosi około 300 zł.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

JAK SCHUDNAĆ?

Stosowanie środków farmaceutycznych.

Leczenie otyłości środkami farmaceutycznymi datuje się już od czasów najdawniejszych. Wiemy np. że Gallenus, jeden z najznakomitszych lekarzy starożytnych, który żył w drugim wieku naszej ery, za lecał „terjakę“ — środek, będący mieszaniną całej masy leków. Poza tem stosowano nasienie dyni i szeregi innych ówczesnych środków aptekarskich, uchodzących za specyficznie działające na odtłuszczenie, jednakże dziś zarzuconych, gdyż okazało się, że nie mają przypisywanych im właściwości.

Wszystkie, stosowane dziś środki, dadzą się ująć w 4 grupy. Do pierwszej zaliczyć należy tak zwane środki czyszczące. Wpływają one na zmniejszenie ilości wody w organizmie; poza tem mają duże działanie na wątrobę, tak często wywierającą pewien wpływ na przemianę materji, a przez to i na odtłuszczenie. To też w niektórych wypadkach udajemy się do tej grupy środków, jednakże staramy się ich nie nadużywać, gdyż mogą nieraz przynieść więcej szkody, niż pożytku.

Do drugiej grupy należy zaliczyć preparaty jodowe, tak zachwalane przez lekarzy tej miary, co Kisch, Thiry, Betz i wielu innych. Należy tu zauważyć, że preparaty jodowe działają dobrze tylko w wypadkach odtłuszczenia u osobników z usposobieniem arterjosklerotycznym i limfatycznym, u których jod znacznie ułatwia cyrkulację. Dziś jeszcze cieszy się dużym uznaniem masę na odtłuszczenie, w której skład wchodzi jodek potasu i żółc wołowa.

Do trzeciej grupy zaliczyć należy, związki zasadowe, których działanie polega na przyspieszaniu spalania się w organizmie wprowadzonych środków pokarmowych, co wpływa na prędszą przemianę materji. W tej grupie na naczelnem miejscu postawić trzeba preparaty sodowe, a mianowicie dwuwęglan sodu, który zajmuje wybitne miejsce w takich wodach, jak: krynicki Zuber, rymanowska „Julja“, szczawnicka „Magdalena“ i „Józefinka“, a z zagranicznych: „Celestins“ z Vichy, „Rudolfsquelle“ w Marienbadzie.

Z wymienionych wód pod względem procentowej zawartości dwuwęglanu sodu, a tem samem i wartości ich, na pierwszym miejscu stoi nasz polski „Zuber“ i „Julja“, albowiem pierwsze źródło ma aż 18,77 gr., drugie zaś 15,64 gr. dwuwęglanu sodu na każde 1000 gr., czyli litr wody. Natomiast „Celestins-Vichy“ ma tylko 5,1 gr., a marienbadzki „Rudolfsquelle“ zaledwie 0,5 gr.

Poza wodami, zawierającymi dwuwęglan sodu, niektórzy lekarze (jak np. Bouchard) przepisują chętnie wody siarczane. Związki zasadowe ogromnie wpływają — oczywiście pośrednio — na rozpuszczanie się w naszym organizmie tłuszczu.

Niektórzy stosują z powodzeniem preparaty żółciowe. Dr. Lamy np. otrzymywał w ciągu miesiąca pięciokilogramowy spadek wagi przy stosowaniu tylko żółci wołowej.

Ostatnią, bodaj że najważniejszą grupę środków, stosowanych w odtłuszczeniu, stanowią wyciągi z gruczołów o wewnętrznej wydzielinie, z których znów naczelnem miejscu zajmuje tarczyca. Rola jej polega na tem, że wywołuje w organizmie naszym prędszą przemianę materji przez wzmoczenie spalania się wprowadzonych do organizmu organicznych środków pokarmowych. Pierwszy zaczął stosować w leczeniu odtłuszczenia preparaty tarczycy Putman, następnie zaś Leichterstein, Carnot i inni.



Czyste mydło -
czysty zapach -
czysta cera

Jednakże przy stosowaniu tego środka należy być bardzo ostrożnym i zawsze poddawać się kontroli lekarskiej, albowiem przy nieumiejętnem i usilnem stosowaniu może nastąpić znaczne podrażnienie systemu nerwowego, bezsenność, utrata apetytu, nerwica serca, uczucie niepokoju i bicia serca, bóle w plecach i łędźwiach, zawroty głowy, omdlenia, a nawet śmierć.

Według dra Loranda, Noordena i innych, wyciągi z tarczycy są niezastąpione przy odtłuszczeniu u ludzi z kompleksją limfatyczną. Przed stosowaniem jednak należy dokładnie zbadać, serce, naczynia krwionośne oraz stan nerek i wątroby; podczas kuracji zaś trzeba być pod stałą obserwacją lekarską, w przeciwnym bowiem razie narażamy swoje zdrowie na nieobliczalne szkody, które nieraz dają się we znaki przez całe życie.

Poza tarczycą, stosuje się jeszcze od czasu Jayle'a wyciągi z jajników, jąder, wątroby, nadnerczy i przysadki mózgowej. Metodę leczenia wyciągami z gruczołów na racjonalnej stopie postawił Carnot. Dziś mamy mnóstwo preparatów tego rodzaju. Są również preparaty, stanowiące kombinację kilku wyciągów. Tego rodzaju preparaty są lepsze. Stosuje się je doustnie, w postaci kołaczyków, bądź też w postaci zastrzyków.

A teraz podam jeszcze kilka przepisów specjalnego leczenia.

Otóż tak zwana mleczna kuracja otyłości według Karel'a i Boucharda polega na tem, że pacjentom w ciągu 20-tu dni zezwala się jadać tylko 5 jajek i 1½ litra, t. j. około 6 szklanek mleka, w ten sposób, by spożywać to w pięciu dziennych ratach. Kuracja według Moritza polega na spożywaniu 2 litrów mleka dziennie. Oczywiście, są to „końskie“ metody.

W każdym razie, stosując tę lub inną metodę, należy mieć pewne podstawy do jej wybrania; poza tem nie należy dążyć do szybkiej utraty wagi: wystarczy 3 — 4 kilogramy miesięcznie; o ile bowiem spadek wagi będzie gwałtowniejszy, odbije się to na całym zdrowiu wogóle, po drugie zaś, ciało zrobi się sflaczałe, utworzą się zmarszczki, nos i broda się wydłużą i, zamiast efektu dodatniego, będziemy mieli bardzo ujemny.

Zaznaczę również, że nie zawsze szczuplenie idzie w parze z utratą wagi. Dość często daje się zauważyć, że waga nie spada, natomiast po ubraniu sędzić możemy, że nastąpiło duże zeszcuplenie. Znany mi jest wypadek, kiedy pacjentce po kuracji nawet przybyło na wadze, jednakże zeszcuplenie było tak wyraźne,

że dawne ubranie wisiało na niej, jak worek, albowiem zmniejszyła się objętość nie tylko w pasie, ale w piersiach, szyi, biodrach i ramionach.

Są również dość częste wypadki, kiedy szczuple nie zaczyna się uwydatniać dopiero w jakiś czas po przeprowadzeniu kuracji.

Tablica zależności wzrostu i wagi według Bouchard'a:

Wzrost w centym.	waga w kg. (bez ubrania)	Wzrost w centym.	waga w kg. (bez ubrania)
140	45,81	171	71,38
141	46,66	172	72,07
142	47,50	173	72,78
143	48,36	174	73,48
144	49,18	175	74,11
145	50,05	176	74,77
146	50,88	177	75,40
147	51,73	178	76,04
148	52,58	179	76,77
149	53,45	180	77,42
150	54,32	181	78,08
151	55,21	182	78,73
152	56,09	183	79,40
153	56,93	184	80,06
154	57,78	185	80,73
155	58,64	186	81,39
156	59,50	187	82,07
157	60,38	188	82,76
158	61,26	189	83,43
159	62,15	190	84,11
160	62,91	191	84,79
161	63,76	192	85,48
162	64,61	193	86,17
163	65,46	194	86,85
164	66,26	195	87,48
165	67,06	196	88,08
166	67,79	197	88,81
167	68,55	198	89,32
168	69,30	199	89,87
169	69,98	200	90,40
170	70,69		

Oczywiście, podana tablica służy tylko dla orientacji, ściśle nie należy się z nią liczyć, jak bowiem wspominałam w jednej z poprzednich pogadanek, waga musi być zawsze uzależniona nie tylko od wzrostu, ale od wieku i płci. Dr. med. Zofja Rostkowska.

POZNAŃSKIE KOŁO ULEPSZEŃ METOD PRACY DOMOWEJ

Zanim wszystkie stowarzyszenia kobiece, zawiązane w celu samokształcenia i samopomocy gospodarczej, zleją się w jeden Związek Pań Domu i staną się oddziałami tej olbrzymiej organizacji, obejmującej wszystkie polskie gospodynie, żadne postępu w gospodarstwie i ułatwienia w pracy około niego — należy sobie przypomnieć cały ruch kobieco-gospodarczy kilku lat ostatnich.

Niewątpliwie ogromny wpływ wywarła książka Katarzyny Frederick o normalizacji zajęć domowych. Książka ta, w tłumaczeniu pani Aleksandry Grzybowskiej (podpisana przez panią Romanową, która miała autoryzację na tłumaczenie), była czytana przez tysiące kobiet i obszernie komentowana.

Nie nadawała się ona zupełnie do naszych stosunków, lecz rzuciła tyle nowych myśli, dawała tyle nowych pomysłów, tyle nowych metod, że wzbudziła żądze naśladownictwa. Coś podobnego u nas stworzyć! Pomysły tej mądrej amerykanki u nas zastować.

Normalizacja zajęć domowych, racjonalna organizacja gospodarstwa domowego stały się najpopularniejszymi hasłami kobiet.

Od studjowania poszczególnych rozdziałów książki p. Frederick i pracy nad przystosowaniem ich do naszych, polskich warunków, od skromnych zebrań kilku kobiet, zapalonych ideą przyjscia z pomocą powojennym gospodyniom domu, uginającym się pod ciężarem różnorodnych prac — wzięło początek warszawskie „Koło Studjów Gospodarstwa Domowego”, pierwsze tego rodzaju stowarzyszenie.

Z tego to Koła, jako z najstarszego, a właściwie od jego obecnej, na amerykańskich wzorach wykształconej, przewodniczącej — pani Izy Mandukowej — wyszła myśl połączenia wszystkich, wspólną ideą złączonych Związków i Stowarzyszeń, w jeden Związek Pań Domu.

O Kole Studjów pisano często i obszernie w „Bluszczu”. Również obszernie omówiono tu jesienią roku ubiegłego odbyty w Warszawie Zjazd Organizacyjny Pań Domu, którego rezultatem bezpośrednim jest, że — pomimo iż dotąd Statut Związku nie został przyjęty przez delegatki, a zatem i nie zatwierdzony przez władze — już piętnaście Kół Związku Pań Domu zawiązało się na prowincji i z niecierpliwością czekają na chwilę, gdy oficjalnie będą mogły rozpocząć swą pracę.

Jak kobiety, kiedy chcą, pracować potrafią — tego dowód dało Poznańskie Koło Ulepszania Metod Pracy Domowej, które w dniu 13-ym b. m. przystąpiło do Związku Pań Domu i stało się od dnia tego jego Poznańskim Oddziałem.

Zanim dzielne jego założycielki, kierowniczk i członkinie przystąpią do pracy pod nowym sztandarem, chciałabym tutaj przypomnieć o ich dotychczasowym dorobku.

Po kursie Organizacji Gospodarstwa Domowego p. Ireny Szumlakowskiej, urządzonym staraniem gazowni poznańskiej z inicjatywy p. Teresy Skórzewskiej — która też była jego założycielką i pierwszą przewodniczącą — powstało w Poznaniu „Koło Ulepszania Metod Pracy Domowej”.

Było to niedawno, 30 listopada 1929 roku, czyli zaledwie półtora roku temu.

Walcząc, jak większość stowarzyszeń, nieopartych na poważniejszych środkach finansowych, z brakiem własnej siedziby, Koło zbiera się jednak dwa razy miesięcznie, przy czem zebrania o charakterze ogólnym odbywają się w sali Śniadeckich, w gmachu uniwersytetu, sekcja zaś gospodarza zbiera się daleko za miastem, w gazowni miejskiej.

Od stycznia r. b. członkinie własnymi siłami wypełniają Dodatek w jednym z dzienników poznańskich — dodatek pod nazwą: „Sprawy Pani Domu”, wynoszący około 200 wierszy druku.

Projektowana biblioteka gospodarza jest dopiero w zaczątku, natomiast liczba odczytów i pogadanek, ilość i różnorodność poruszanych w nich tematów jest wprost imponująca.

Odbył się naprzykład kurs „higjeny odżywiania”, na który złożyło się 6 godzin wykładów inżyniera Hetpera: „Towaroznawstwo żywnościowe” — i 6 godzin Dra Krotoskiej: „Higjena odżywiania niemowląt, dzieci małych i dużych”. Dr. Krotoska mó-

wiła również: „Jak zachować dzieci przed gruźlicą“, p. Jonscherowa: „Dzieci w zimie“.

P. G. Dobrowolska, obecna przewodnicząca Koła, parokrotnie wracała do spraw budżetu domowego. P. T. Skórzewska omawiała książkę L. Gilbreta: „Naukowa Organizacja Gospodarstwa Domowego“; następnie zorganizowała „dzień towarów polskich“ i „kurs konserwacji mieszkań“ — 4 wykłady z demonstracjami.

Z innych wykładów i pogadań wyliczę tylko:

G. Dobrowolska: Cele i zadania Koła U.M.P.D.

G. Żółtowska: Pranie chemiczne.

L. Kosarzowska: Elektryczność w gospodarstwie domowym.

G. Żółtowska: O porządkach domowych.

K. Dediowa: Kwestja alkoholizmu.

Prof. K. Jonscher: Jak zorganizować wakacje dla dzieci.

Inż. Hetper: O sposobach konserwowania środków spożywczych.

S. Przyremblanka: Nasze balkony.

H. Serafinowska: Nasza kuchnia.

P. Madzerowiczówna: 2 godziny praktycznych przepisów.

Pozatem pani Jonscherowa prowadziła cztero-dniowy kurs robienia swetrów.

Koło urządziło herbatkę towarzyską, uzyskało rabat, wynoszący od 5 do 15 proc., dla swoich stowarzyszonych w różnych firmach i dostawę masła dla swych członkiń.

Członkiń dotąd liczy przeszło 90, a wchodzi do Związku Pań Domu z tak poważnym dorobkiem praktycznym, że służyć może innym, nowopowstającym Oddziałom tego Związku za przykład do naśladowania. Daj nam, Boże, więcej takich! *Pani Elżbieta.*

JAK PRZYRZĄDZAĆ, PODAWAĆ I JEŚĆ SZPARAGI

W odpowiedzi „Szarotce“.

Jedną z najlepszych i najdelikatniejszych jarzyn, znaną od bardzo dawnych czasów, są szparagi.

Już na kilka wieków przed naszą erą hodowano szparagi z zamięłowaniem, czego dowody znajdujemy w starych kronikach, w których czytamy, do jakiej doskonałości doszła hodowla tej jarzyny, kiedy na targu w Rzymie sprzedawano szparagi z Rawenny, których 3 sztuki ważyły pół kilograma. Nawet surowy Katon nie gardził nimi, znany był bowiem, jako amator-hodowca tej jarzyny w swoim ogrodzie.

W ciągu różnych epok spotykamy się często z ciekawymi wzmiankami o szparagach, które zawsze zajmowały naczelne miejsce w wykwintnych jadłospisach. Żadna wspanialsza uczta obejść się bez nich nie mogła, a chociaż podawano je początkowo jedynie na królewskich i magnackich stołach, hodowla ich rozpowszechniała się coraz bardziej. Za „Wielkiego Króla“, Ludwika XIV-go, w Wersalu produkowano szparagi jak rok długi, a obszar, zajęty niegdyś pod ich plantacje, dotychczas zowie się „szparagarnią“ (Aspergerie).

Wiek ósmnasty demokratyzuje używalność szparagów; wszyscy spożywają je i delektują się nimi. Wówczas powstała znana i bardzo ceniona hodowla szparagów w Argenteuil, która przetrwała do dni obecnych. Szparagi w Argenteuil, bezwz wątpienia najsmacz-

niejsze i najpiękniejsze, wyparły z rynków sprzedażnych inne gatunki. U nas szparagi „arżentelskie“ rozpowszechniły się również i w tym roku bardzo były poszukiwane: płacono za nie drożej, niż za inne. Zaznaczam to dla wiadomości osób, które mają zamiar zakładać własne szparagarnie.

Popyt na szparagi paraliżowany jest wysokimi cenami; pomimo bowiem względnej obfitości, w tym roku naprzykład, trzymały się w cenie nie dla każdego, zwłaszcza liczniejszego domu, dostępnej. Właściciele szparagarni powinni nad tem pomyśleć i starać się dostosować ceny do wszystkich kieszeni, a napewno znajdą licznych odbiorców na swój produkt.

Szparagi smaczne są tylko zupełnie świeże, możliwie prosto z ziemi. Poznaje się to po łebkach, które powinny być białe, lub lekko zabarwione na kolor fioletowy (zależnie od gatunku), ściśle zamknięte, nie wyrosnięte; końce muszą być świeże, nie obeschnięte, a skórka od dołu powinna się łatwo ścierać, a nie kruszyć. Dobroć szparagów zależy też od dokładnego ich obrania; od góry skrobie się je ostrożnie, niżej struga, dopóki włóknista powłoka zupełnie nie zejdzie. Niektórzy zalecają obierać szparagi tak grubo od dołu, żeby pozostały tylko przezrocyste środki, które po ugotowaniu można zjeść całe. Po ostruganiu kładzie się szparagi zaraz do zimnej wody, aby nie szcerniały.

Do gotowania wiąże się je bawełną w małe pęczki, kładzie do wanienki z podwójnym dnem dziurkowanym, do wrzącej wody, zagotowuje szybko, wodę odlewa, powtórnie zalewa gorącą — w ten sposób nigdy nie będą gorzkie. O ile ma się pewność, że szparagi są zupełnie świeże, nie potrzeba ich odlewać i można gotować w jednej wodzie, przez odlanie bowiem tracą dużo witamin. Na kopę szparagów dodaje się w gotowaniu dwie duże łyżki cukru i łyżkę soli; szparagi powinny się gotować od 20 minut najwyżej do pół godziny. Skoro będą miękkie, ale nie przegotowane, wyjąć je na sito, rozwiązać, potrzymać chwilę, niech obsiąkną; ułożyć na półmisku łebkami do środka i podać ze zrumienionym masłem z bułeczką, albo z sosem holenderskim.

Kto pragnie przechować szparagi dłużej w świeżości, niech je trzyma w głębokim kamiennym naczyniu, łebkami do dołu, zupełnie zalane zimną wodą. Kilka dni nawet pozostaną zupełnie świeże i nie zgorzkną.

Szparagi podaje się całe, albo krajane, na gorąco lub na zimno. Podanie szparagów ugotowanych z wody, oblanych masłem rumianem z bułeczką, zwiemy „po polsku“; „po holendersku“ — z sosem tejże nazwy w sosjerce; „po włosku“ zapiekane w sosie beszamelowym, grubo posypane parmezanem; „po francusku“ — podane na zimno z sosem z żółtek, octu, oliwy, ze szczyptą białego pieprzu i dużą ilością siekanej zieleniny, noszącej we francuskiej kuchni miano „bukietu“, albo „fines herbes“. Widziałam w polskim domu szparagi, podane z sosem rakowym, a w niemieckim — ugotowane z wody, ułożone w środku półmiska, obłożone plasterkami ostrego salami, czy kielbasy. Co kraj — to obyczaj, a zwłaszcza upodobanie.

Z małych i połamanych szparagów (o wiele, naturalnie, tańszych) można zrobić doskonałą jarzynkę, jako dodatek do mięsa; pokrajane drobno, zwyczajnie ugotowane, podaje się w białym sosie z trochę koperku. Wodę odlaną ze szparagów trzeba scedzić w czyste kamienne naczynie, nazajutrz dodać trochę świeżo ugotowanych łebków od szparagów, zaprawić żółtkami i słodką śmietanką i podać na zupę z lanami

kluseczkami. Krajane drobno szparagi stanowią doskonały dodatek do sosu do gotowanego drobiu, cielęciny, lub do francuskiego omletu; podaje się je wystudzone, jako sałatę, same, albo z jarzynkami, z sosem majonezowym, lub innym ostrym; wkońcu same łebki ścięte kraje się w cienkie plasterki i dodaje surowe do jarzyn na tak bardzo dziś używane sałaty, surówkami zwane.

Szparagi podaje się przy obiedzie między dwoma mięsami, albo, o ile jest tylko pieczone, po niem, bezpośrednio przed deserem, lub jako zakończenie skromnego menu.

Osoby, mało obyte, często są w kłopotcie przy jedzeniu szparagów, zwłaszcza na większym przyjęciu. Na dużych zgromadzeniach podają do nich specjalne szczypczyki, ułatwiające to trudne zadanie; w braku szczypczyków posługiwać się trzeba dwoma widełkami, z których jednym podnosi się szparagi z talerza, drugim podtrzymuje je w połowie, aby zręcznie, włożyć do ust, nie robiąc dziwacznych min i gestów (jak to czasem się zdarza), na których widok trudno powstrzymać się od śmiechu. W zasadzie szparagi je się tylko do połowy, grube końce zostawiając na talerzu; jeżeli jednak są miękkie i smacznie ugotowane, w domowym zwłaszcza kółku można zjeść je całe; dzisiejsza praktyczność, oszczędność i prostota darują nam takie małe wykroczenie przeciwko dobremu tonowi.

J. S.

OBIADY DLA INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ

(NA 5 OSÓB)

Zupa z czarnych jagód z kluseczkami.

Wątróbka cielęca, smażona — młode kartofle.

Ryż na zimno.

Pół litra czarnych jagód ugotować z dwoma litrami wody, przetrzeć przez sito, dodać dwadzieścia deka cukru, zagotować razem. Jeśli trzeba, dla smaku dodać łyżeczkę od kawy soli cytrynowej (kwasku). Sporą łyżkę mąki kartoflanej rozbić paru łyżkami wody, wlać do zupy, zagotować. Wynieść na chłód, aby dobrze ostygła.

Z trzydziestu deka mąki, odrobiny soli, jednego jajka i wody zagnieść twarde ciasto, rozwałkować, pokrajać cienkie kluseczki, odgotować w lekko osolonej wodzie, ostudzić. Nalewając zupę, kłaść po łyżce kluseczek na talerze. Kto chce mieć zupę smaczniejszą, może przed podaniem włożyć w nią kwaterkę śmietany.

Sześćdziesiąt deka wątróbki cielęcej, lub z młodego wieprza, wymoczyć, ociągnąć z błonki, pokrajać na równe pięć dużych, lub dziesięć mniejszych plastrów. Utarzać w mące i usmażyć na maśle, lub szmalcu, soląc dopiero po usmażeniu, aby wątróbka nie stwardniała. Do niej podać kilo młodych kartofelków, ugotowanych w osolonej wodzie, posypanych garstką zielonego koperku lub pietruszeczki i wymieszanych z kawałkiem masła (2 deka).

Piętnaście deka ryżu odgotować w dużym rondlu wody, leciuchno osolonej. Wylać na sito. Przelać zimną wodą. Ułożyć na salaterce, poleć jakimibądź konfiturami lub syropem, pozostałym od konfitur. Posypać otartą na tarce skórka cytrynową. Wymieszać razem i wynieść na chłód na godzin parę przed podaniem. Podając, ubrać truskawkami, malinami, lub poziomkami.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

LETNIA ZUPA OWOCOWA.

Ćwierć kilo czereśni, ćwierć kilo zielonego agrestu, ćwierć kilo truskawek zalać litrem wody, ugotować. Owoce przetrzeć przez sito, dodać ćwierć kilo cukru, zmieszać z płynem, w którym się gotowały owoce. Powinno wszystkiego być półtora litra. Kwaterkę dobrej śmietany rozbić sporą łyżką pszennej mąki. Włożyć to w zupę, zagotować raz tylko. Wynieść na chłód. Kto lubi bardzo słodką zupę, może wziąć więcej cukru. Do tej zupy można podać delikatne kluseczki francuskie, grzanecki z bułki, lekko zrumienione bez masła, lub grzybek, który można zrobić w sposób następujący: Dwa żółtka utrzeć do białości z trzema deka masła, dodać trzy deka mąki i łyżeczkę od kawy soli. Nakoniec ubić białka na sztywną pianę, zmieszać z jajeczną masą, wyłożyć na posmarowaną masłem patelnię i upiec pod blachą. Zdjąć z patelni, pokrajać w równą kostkę, rozmiaru laskowego orzecha, wstawić w lekki piec dla ususzenia. Ostudzić i podawać do owocowej zupy.

KWAS TRUSKAWKOWY.

Kilo drobnych, gorszych, zgniecionych (byłe niesfermentowanych) truskawek zagotować z trzema litrami wody. Przeceścić starannie, dobrze wyciskając owoce. Wsypać ćwierć kilo cukru, dodać tyle wody, aby było cztery litry płynu. Weisnąć sok z całej cytryny, lub wsypać łyżeczkę cytrynowej soli (kwasku). Gdy płyn ostygnie, dodać jedno deka drożdży. Wziąć siedem zwykłych butelek od wina, lub lepiej butelek od wód mineralnych (zaopatrzone w patentowane, porcelanowe korki na gumie). Do każdej włożyć po trzy zwykłe małe rodzynki. Nalać każdą niezbyt pełno. Zakorkować. Jeśli korki zwykle, obwiązać je mocno szpagatem lub odrutować. Dobę trzymać kwas w normalnej temperaturze pokojowej, potem wynieść na lód. Na drugi dzień po zrobieniu jest już zdatny do użycia.

Butelki należy ostrożnie otwierać w kuchni lub w wannie i kwas przelewać tam do dzbanka, z którym podawać na stół; przy otwieraniu w jadalni nakrycie stołu i biesiadnicy narażeni są na oblanie, gdyż kwas gwałtownie się wyrzywa z butelki

DROBNE OGŁOSZENIA

WYJEŻDŻAJĄC do Rabki na lipiec — sierpień przyjmę opiekę nad dziećmi do lat 12-u. Informacje w Redakcji „Bluszczu“: „Wyjazd do Rabki“.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 744-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcza“. Rymarska 8, tel. 244-18.